



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

WYCHOWANIE.

Angielska pani, lady Ludwika Egerton, napisała i nakładem swoim wydała wielce zajmującą książkę, pod tyt.: *Wychowanie* (The Education, 1887 London, Elliot Stock). Prassa lordyńska, zanim przystąpiła do oceny treści, zajęła się kwestyą wielkiej taniości dzieła, które wyszło w dwóch wydaniach, wytworniejszem i prostszem, a to ostatnie jest właśnie niesłychanie tanie z powodu, że autorka oddaje publiczności książkę po cenie kosztów wydawniczych, nie żądając nic za swoją pracę pisarską w nadziei, że tym sposobem rozejdzie się w znaczniejszej liczbie egzemplarzy i w tych sferach średnio-zamożnych, gdzie kupowanie drogiej książki jest ze względów finansowych niemożliwem. Jest to zatem uczynek dobry, a przynajmniej pocziwa chęć dobrego uczynku, bo chęć rozpowszechnienia wśród społeczeństwa swego tych myśli o wychowaniu, które piszczą uważa za dobre i dla ogółu pożyteczne.

Na szczęście, nie myli się, i każda matka, która weźmie do ręki książkę, drukowaną, nie na brystolu, ale porządnie i wyraźnie na dobrym papierze, zyska coś w swoich poglądach wychowawczych, w pojęciach obowiązku, złeczonego jej przez naturę i moralność, przez uczucie obywatelskie miłości kraju.

Przyznając, i słusznie, wielkie znaczenie pierwszemu, domowemu wychowaniu, autorka pisze: „Każda matka ma w rękach swoich przyszłość tej drobnej istoty, której wychowanie zostało jej przez Boga powierzonym—ma w rękach swoich przyszłość i tej cząstki działalności narodowej, którą dziecko jej przedstawiać będzie kiedyś wśród współobywateli: Sparta ubliżała kobietom

swoim, odbierając im wychowanie synów. Należy dbać tylko, aby te idee organiczne, które tkwią w rozumie społecznym, stały się przekonaniem kobiety, a wychowanie będzie takim, jakim chcą je mieć Likurgi narodów.”

Autorka jest przekonana, że większość, niemal ogół, matek pragnie wychować dzieci dobrze, najlepiej, jak umie, i wyjątki to tylko „potworne” w których egoizm matki świadomie góruje nad uczuciem miłości macierzyńskiej w zaniedbaniu tych środków wychowania, które się stają edukacyjną korzyścią dzieci. Używa też na potępienie tych matek bez serca słów, podobnych do wyroku Mickiewicza na ów kamień, który bez sądu można rzucić do piekła: „Głazy to są z gatunku tych, które z góry na potępienie skazane być mogą”—pisze, lecz powtarza zaraz, że u przeważnej większości kobiet uczuciem, silniejszym nad wszelkie inne, jest miłość macierzyńska, pragnąca dla dzieci swoich gorąco, ofiarnie, z poświęceniem własnej istoty—szczęścia i dobra!

Czy nie przedewszystkiem szczęścia? — Nie... Ludwika Egerton twierdzi, że na zaszczyt natury ludzkiej matki, najnamiętniej rozkochane w dzieciach swoich, pragną dla nich dobra, cnoty, uczciwości, silniej może niż szczęścia. W chwili, któraby już wybór ten w określonych, widomych kształtach przed oczy macierzyńskie stawiała: w chwili przeważającej tak szale losu, aby z jednej strony było używanie, dostatek, honory—karyera świetna, czyli szczęście w jego powszedniejszem, ogólniejszem świata pojęciu, a z drugiej dostojność ducha wyniosła, przy bycie skromnym, przy znoju pracy na czołe—przy ofierze i poświęceniu, może niejedno serce matki zesłabłoby, zawahało się tak, jak słabną, jak wahają się wogóle serca ludzkie wobec okoliczności podobnych; ale w zasadzie, w ideale moralnym losu swych dzieci, mało która matka przeniosłaby złe nad dobre, liche nad szlachetne.

Bywają, i nierzadko przykłady, w których matki upadłe, nędzne, z cnoty wyzute, dzieci swe od złego chronią i swoje grzechy, swoją nizinę charakteru przed nimi tając, chcą im inną drogę życia torować. Świadectwem to jest najwyższego szczytu miłości w sercu ludzkim, bo wtedy matka stawia ofiarnie dziecko swe wyżej od siebie, przypuszczając, że może ono kiedyś pogardzić nią i odsunąć się od niej.

Wychowanie zatem ma przed sobą, jako cel, jako zasadę, można twierdzić: ogólną, dobro i szczęście młodego pokolenia. Czy przecież rzeczywistość praktyczna jest zgodną z owym ideałem, rzuconym w dal przed pragnienie rodziców? W ostatnim rzeczy wyniku wychowywać dla dobra, znaczy to samo, co wychowywać dla szczęścia, bo dobro już uszczęśliwia tego, co je czuć, kochać, wypełniać umie—uszczęśliwia nawet w sensie więcej praktycznym i stosowanym, bo cnota, życie moralnie, uczciwie pędzone, mniej naraża na wielkie, bolesne upadki i zawody, na rozrywające pierś cierpienia dzikich pragnień, niż wtedy, gdy niczem niehamowane samolubstwo i chęć używania toruje drogi nasze. Jest przeciw takim osobistościom występujący odpór społeczeństwa—jest występujący przeciw nim odpór w towarzyskich, w rodzinnych nawet stosunkach. Samolubstwo nie zyskuje sobie miłości, i jeżeli zasada bezwzględne rządzenia się interesem własnym, pomaga nieraz do zapewnienia ludziom dobrobytu materialnego, to nie zapewnia im, chyba w bardzo rzadkich wyjątkach, przychylności ludzkiej. Od człowieka z sercem zimnem wieje chłód, który mrozi, i Ludwika Egerton woła: „Żałuję złych ludzi!”

Wiktor Hugo wyraził to samo pod adresem pokrzywy. Biedna ona! Nienawidzą jej wszyscy, wszyscy wyrwają ją i depczą, bo parzył...

Że egoista przez miłość własną wad i ujemności charakteru swego nie widzi, że sam nic ludziom nie dając, chce od nich brać, żąda przysług,

poświęceń, żąda miłości, której przecież podobnymi przysługami, poświęceniami nie odpłacając, nie pozyskuje,—więc rozżala się nieraz gorzko i rozżalenia jadłem serce sobie zatruwa, nieszczęśliwym, niesprawiedliwie traktowanym się czując.

Drogi do szczęścia tor główny wykreśla autorka przez dobro i poświęca dowodzeniu tej prawdy rozdział cały, ale z kolei idą inne, w których, o to przyszłe szczęście młodej istoty się troszcząc, szczegółowe przestrogi rodzicom daje. Wychowanie zbyt miękkie i pieszczotliwe daje dziecku złe nawyki moralne i fizyczne. Sokratesowa mądrość nie trzyma się pieścioczków, bo pieszczoty wytwarzają sybarytyzm ciała i ducha. Trzeba im potem zawsze wygódek, bez których cierpią, słabną, chorują, bez których tak się już obejść nie mogą, że nierzadko dla ich pozyskania poświęcą najdroższe człowiekowi rzeczy. W małżeństwach bez miłości jest połowę takich, gdzie jedna strona sprzedaje się dla dobrobytu, za pieniądź nabywany; że to przecież nie starczy dla zapełnienia serca, że to człowiekowi za wszystko, drugostronnie stracone zapłacić nie może, więc dzieje rodzin kryją w sobie niezliczoną liczbę zawodów, niezliczoną liczbę tajemnic bolesnych, z jednej strony zawiedzionego serca, z drugiej, spustoszonego przez zapóźny żal życia!

Z wypieszczonych, wychuchanych, elegant-

wanych dzieci, nie wyrosną nigdy dzielni, mężni, śmiało z losem mierzący się ludzie, którzy do pracy odważnie staną i wytrwać w niej wiernie potrafią. Czarna polewka Spartanów Spartanami czyniła, bo na takiej strawie hartują się razem ciała i duchy.

Matka, pieszcząca dzieci, bierze na duszę swoją odpowiedzialność za ich przyszłość i za ich niedobory szczęścia, męskiej cnoty i dzielności ducha, która nieraz ściśle z wytrzymałością ciała jest związana. „Być zdrowym, być mocnym, jest nie tylko fizycznym przymiotem i to tak ciałem, że nazwałabym to, jeżeli już nie cnotą wręcz, to usposobieniem do cnoty, bo uzdolnieniem do niej. Wiedzieli o tem Starożytni, gdyż nam zostawili w spuściznie moralnej zdanie, które należałoby ryć złotymi literami po wszystkich placach publicznych, aby ludzie, co dzień czytać je mogli: „W zdrowem ciele zdrowa dusza!”

Silna fizyczność i proste życia nawyki, przez to jeszcze człowieka uszczęśliwiają, że dają mu pewność siebie w chwilach życia stanowczych. Gdy się los człowieka na szali materialnego powodzenia waży, ten co brzemień pracy dźwignąć może, i skromnego bytu za nieszczęście nie uważa, znieść to potrafi mężnie i spokojnie. Więc nie będzie wtedy drzeć i blednąć, nie będzie rąk łamać i koła fortuny rozpaczliwie się

chwycić: głowy nie zniży, ludziom smutnego widowiska upadku swego nie da. Szczęście przychylnem jest dla śmiałych!... Tak! przychylnem jest dla nich już przez to, że śmiałości być mogą przez zapas sił, mianych w sobie.

Przecież dziecko nie jest w ręku rodziców gliną tak miękką, aby z niej wszystko co chcą, i jak chcą, ulepić mogli. Wychowanie znaczy niezmienne wiele—tak wiele, że odebrać wychowanie złe lub dobre, jest to wstępować w życie człowiekiem bogatym lub ubogim. Niemniej każdy duch ludzki posiada indywidualność własną, z którą wychowanie liczyć się musi, bo może ją w wielu rzeczach wspomóc lub uszkodzić, do jej szczęśliwego rozwoju się przyczynić, lub rozwój ten zahamować i w złym kierunku siły jego zwrócić; ale zawsze wychowawca z tą indywidualnością współpracować tylko powinien, tak w tem co w niej rozwija, jak i w tem, co w niej zwalcza. Dziecko przynosi ze sobą pewne zdolności i usposobienia—skłonności i siły; pod różnym ich kształceniem i rozwijaniem, pod nacięciem ich różnem powstają różne kombinacje i sojusze, z których urabiają się cnoty lub wady: charakter różne.

(Dokończenie nastąpi)

BHAGAVAT

Poemat, — Leconte de Lisle'a

przełożył A. L.

(Dokończenie).

Jak słoń, który ciężkimi stopami ucieka
Z lasu, gdy nagły pożar w szkarłat go obleka,
I który wśród ognistych tych ryczy gałęzi,
I zaledwie oddycha, gdy go żar ich więzi,
I płomienie zostawia mu na drżącym ciecie,
Rzuca się w świeżej wody ożywcze topiele—
Tak mędrcy, którym serce robak zgryzot toczy,
Czują, że na głos Gangi schną ich łzawe oczy.
Siedemkroć wyciągnawszy ramiona ku fali,
Imię twe, opiekunko, ze czcią powtarzali—
Dziewico boska, córo Himawaty święta!
Co niegdyś zamieszkałaś niebios firmamenta,
Aż ci król poświęcenia, groźny Bhagirata,
Kazał w nieprawej woli zejść w noc tego świata.

Później siedemkroć twoje błogosławiąc imię,
Opuścili tę rzekę i lasy olbrzymie,
I do krain, gdzie stoja niebotyczne góry,
W żary słońce południowych i w burz nocnych chmury,
Mimo, że klęski grożą i śmieją się ludzie,
Z zamkniętym okiem dążą ku swych serc ułudzie.
W końcu, na widnokręgu—w ogniu stawy święte
Błysły, kołysząc w falach duchy wniebowzięte.
A w lazurówym łonie ich zwierciadeł srebrnych,
Kajlaga widział obraz swych szczytów podniebnych,
Gdzie Bhagavat na tronu siadł zręby wspaniałe—
I mędrcy opiewali chórem jego chwałę.

Bramini.

O Kajlago, Kajlago! niebiosów opoko,
Gdzie bogi swe mieszkanie obrały wysoko!
Środku świata, co kryjesz tłumy dusz po zgonach,
Kędy Kalahamsasy śpiewają na klonach!
O Kajlago, Kajlago! ty, Niestworzonego
Tronie, co mkniesz w wyżyny przestworza świętego!
O, któż po twoich stopniach może dojść do celu,
Chyba ty, Bhagavato, wszech form stwórzycielu!

My—dzień żyjemy, śmierć nam grozi zawsze bliska,
Nogi nasze omdleją, idąc przez urwiska,
I zmęczeni wysiłkiem, pnąc się na wyżyny,
Upadnięm, zanim ujrzyj twój wierzchołek siny,
I zanim w pierś nam wpłynie twoja cisza święta;
Lecz, kto cię widział, wiecznie ciebie zapamięta.
Urny, co kadzidłami płoną u ołtarza,
Są mniej wonne, niż dech twój, co życie rozżarza.
Twe rzeki błyszczą świetniej, niż lśniące pytony,
Co węzłami zawisły na palmie zielonej;
One toczą się wokół twoich wzgórz podniebnych,
W girlandach lazurów, perłowych i srebrnych
Twe jeziora z szafiru, gdzie lotosy kwitną,
Błyskawicą w jeziora świecą ci błękitną.
Różowa mgła faluje na twoim ramieniu,
Jak płaszczy, gdzie zachód słońca lśni w złotym płomieniu.
Kwiaty, co na twym łonie stu barwami dyszą,
W lubieżnych wiatrach złote łodygi kołyszą,
Tuląc w swoich kielichach, z których miód wytryska,
Rój ptasząt, co piórami drogich kruszców błyska.
O Kajlago, Kajlago! nasze stopy śmiałe,
Czy dojdą szczytów, kędy lśniesz, odziany w chwałę;
Czy też, technienia żywota w piersiach pozbawieni,
Umarli, padniemy u twych olbrzymich przedsieni?
O cudo ziemi, bogów kraju ty wiosenny,
Widzialnego wszechświata monarcho promienny,
Błogosławim twe puszcze, twe rzeki i lasy!
Cześć dla ciebie w sercach nam przetrwa po-wsze-czasy.
Witaj, ścieżko, po której pnąc się staniam w niebie!
Czy żywi, czy umarli nie zapomnim ciebie.

Tak bramini, gdy górę Kajlaga uczcili,
Trzykroć się w przezroczyście fale pogrążyli,
I, oczyściwszy z kałów cielesnych swe ciała,
Mądrzejsi i silniejsi szli w górę. Już dniało.
Rodziły się jutrenki i, do róż podobne,
Chyliły się ku słońcom, w krople rosy zdobne,

A słońca zakrywały ich blask—i kolejną
Z głębi nocnych dni zorze jasne promieniają.
Więc bramini szli w górę, pełni sił radosnych,
Ptak rajska na bambusie w okrzykach donośnych,
A z nim pawie stubarwne i złote koguty,
Głosiły, że już zbliża się ów kraj osnuty
W promienie światła, w życia bezustanne cuda,
Zkąd płynie boska Maja, pierwotna uluda.
Dziewice z bursztynowem czołem, z czarnym włosom,
Przeglądały się w źródłach i srebrzystym głosem
Swoich warg purpurowych śpiewały z uśmiechem
Hymny, co się w krąg świętem rozchodziły echem.
Duchy płynęły w wiatrów tajemnym rozgwarze,
A Kinnarowie, bogów najśladsi gęślarze,
Dzierżąc lutnie z hebanu i kościane *vin*y,
Śpiewali Bhagavaty niezgłębione czyny.

Kinnarowie.

I.

Na początku jedyny był on—Bhagavata.
Bez form, sam przez się był duchem wszechświata.
Nic nie było po za nim, wszystko w jego niebie,
On spoglądał, nie widząc, i nie wiedząc siebie.
I nagle tyś zabłysła promienną nadzieją,
Ty, źródło ostateczne rzeczy, co istnieją,
I rzeczy, których niema jeszcze. Tyś duch boży!
Przez ciebie mrze, i rodzi się, cierpi, i mnoży
Wszystko! O, Majo, w twego łona niewidzialnym świecie,
Żyją bogi i ludzie—nicestwo i życie!

II.

Świat runął w przepaść, której głębie ciągle rosła.
Ryszyjowie podnieśli skargę jednogłośną.
Lecz Bhagavat, podobnie jak lew rozjuszony,
Ryknął wskroś przez pobludle zgrozą nieboskłony.
Dzik boski, król poświęceń, zraniony tym głosem,
Z płomiennem krwawem okiem, z najeżonym włosom,
Niby czarny huragan lub wichor burzliwy,
Błagałym słowom Ryszów i ich łzom życzliwy,
Jednym skokiem przebiega przestrzeń wód wzburzoną
I powonieniem śledzi ziemię pogrzebioną,
I w głębie wód olbrzymich pogrąża się cały,
I oceany dziwnych boleści doznały:
Od świętego upadku omdlały im łona
I na falę rozdartą wyciągnął ramiona
I z okrzykiem błagalnym wołają: o „Panie,
Litośnie na zmęczone te spojrzysz otchłanie!”
A Bhagavata, płynąc na falach bez końca,
Ujrzał w algach zielonych i w ile, jak drżąca,
W gruzach leżała ziemia i dyszała jeszcze,
I podniósł ją i życia obudził w niej dreszcze,
Odwróciwszy bieguny świata przez otchłanie.
I uleciał w niebiosy w srebrnej, czystej pianie.

III.

Gdy, siadłszy na obłoku, Indra, czarny gniewem,
Rozkuje z pęt orkany i deszczu wylewem
Za doznane obelgi pomści się na świecie,
Wtedy wielki Bhagavat, w dni dziecinnych kwiecie,
Co się kryje pod cieniem agok rozłożystych,
Igrając z ptaszętami na rosach perlistych,
I świat o płodnym jeszcze chcąc ratować ciele,
Jednym palcem podniesie, jak wielką umbrellę —
Ku niebu, co się jednym rykiem wichru staje,
W ciągu całych dni siedmiu,—boskie Himalaje.

IV.

Opalony od słońca, olbrzymi król słońci,
O południu się kąpał w świeżej rzeki toni.
I szemrał rad, gdy fale grzbiet mu oblewały,
I gdy woń mu przynosił słodką lotos biały.
Lecz krokodyl mu przerwał te spoczynki błogie,
I nagle mu pochwycił w kleszcze ciężką nogę.
— Panie! krzyknął słoń w zgrozie. Usłysz mię na niebie,
Panie dusz, ratuj, ratuj! Umieram bez ciebie.
Bhagavat go usłyszał, z niebios się wychyla,
I niby trzcinę drobną, łamie krokodyla.

Na słodki śpiew Kinnarów, pragnieniem popchnięci,
Przez wonne idą łąki braminowie święci,
I nad błękitem jezior, między barwne kwiaty,
Szukają promiennego lica Bhagavaty.
I nakoniec ujrzeli istotę, co świetnie
Promieniała naokół, jako słońce letnie.
Był to bóg. Jego czarne i gęste warkocze,
Odziane w kwiaty lasów dziewiczych uroczę,
Były ciężkie, iż ramię gięło się pod włosom,
Oczy miał ożywione uśmiechu lotosem,
I w sukni swej ognistej, jak iskry płomienia,
I z łonem, w którym duchów nicestwieją tchnienia,
Z manelami, zdobnemi w złoto i dyamenty,
Z paznokciami, lśnjącymi w szkarłat, *ryszy*m święty,
Z pępkiem — jedynym środkiem wszechrzeczy w naturze,
Z usty koralowemi, kędy kwitną róże,
Z wachlarzem, co nad białe łabędzie jest czystszy,—
Siedział on podnioslejszy, większy, promienistszy,
Niżli chmura poranna, w blasku swym łącząca
Błyskawice i tęcze, księżycy i słońca:
Takim był Bhagavata dla wzroku człowieka.
W rękę trzymał nenufar, czystszy od mleka;
Jak góra szmaragdowa, z blaskiem bóstw promiennym,
I ze szczytem w girlandy strojnym złotościennym,
Niosąc na kwietnem łonie wszystkie świata krasę,
Jeziora i doliny, i zielone lasy,
I ogrody stubarwne, i szkła wód przezroczy—
Siedział i ciałem swoim trzy światy otoczy.
I własnej jego chwały blask na święte czoło
Spływał mu i promiennie oblewał go wkoło.

O, Bhagavat! Bhagavat! treści istot treści,
Źródło piękna, w którym się odrodzenie mieści!
Światło, co dajesz żywot i śmierć blaski swemi!
Oni ciebie ujrzeli i stanęli niemi.
Jak od wiatru się chyli trawa śród równiny,
Tak pod twym tchem mistycznym chyli wzrok braminy,
I serce szybkim biciem piersi im rozsada,
Jak lew, co kraty łamie, gdy się wyswabada.
Z tchnienia bogów zrodzona fala ognia żywa,
Niewidzialnemi prądy w piersi mędrców wpływa,
Wchodzi w mózg i z śmiałości ich łączy się duchy,
W przestwór nieskończoności prowadząc je głuchy;
Jak słońce, co wyniosłe miłuje wyżyny,
Tyś się uśmiechnął, widząc te mężne braminy,
I sam ty, dóbr rozdawco, duchu ponad duchy,
Sam, wszechpotężny, zdjąłeś z ich jestestw łańcuchy,
I w łonie twem bez granic, w światła oceanie,
Oni trzej się złączyli, w jestestw pierwostanie,
W początku ich i końcu, w błędzie i próżności,
W otchłaniach wszech nicestwa i rzeczywistości,
Które na wieki chłonie promieniami swemi
Niewidzialna nam Maja, stworzycielka ziemi,—
Wspomnienie i nadzieja, rozum i marzenie,
Jedyne, i wieczyste, i święte złudzenie.

Dopełnienie życiorysu Julii Petőfi.

Drugi mąż Julii Petőfi—ten, nad którym obrażone uczucie węgierskiego narodu rozciągnęło w pisanem słowie taki ostracyzm milczenia, jak gdyby ten człowiek nie żył, nie istniał nigdy na świecie i nikomu znanym nie był, nazywał się Arped Horwath i był na uniwersytecie peszteńskim profesorem heraldyki. Ze go to małżeństwo szczęśliwym nie uczyniło, że przeciwnie uczyniło go nieszczęśliwym, nieszczęśliwym bardzo, to twierdzić można. Czuć nad sobą, jak gdyby kłatwę narodu, w domu mieć żonę, pokutującą ciężiej, niż Magdalena pod krzyżem—żonę, która wciąż widzi przed sobą mściwe widmo pierwszego małżonka, to los iście tragiczny i mogący mu wyjednać politowanie ludzkie. Ze jednak nie wyjednać przebaczenia ogółu, że plama, niemal Kainowego piętna, poszła za nim do grobu i nazawsze z pamięcią jego złączoną zostanie—to rzecz inna i sprawiedliwa, zasłużona, jak kara, którą naród każdy ma prawo wymierzać na tych, którzy świętości ideałów jego nie uszanują. Opiuia publiczna ma dany sobie do rozporządzenia tron i pręgierz: jednym koronę na głowę wkłada, drugich pod słupem hańby stawia i piętnuje.

Jakoby Horwath miał być mocno przekonany o śmierci Petőfi i ztąd w małżeństwie z jego wdową winy żadnej nie widział, a owszem zasługę, że sierotę, pozostałą po poecie, wychował, świadczy Kertbeny, przyjaznymi stosunkami z Petőfim związany tłumacz niemiecki jego poezji, który w przypisku do książki przekładów: „Sto sześćdziesiąt poezji lirycznych Szandora Petőfi”, pisząc o nieszczęsnem owym małżeństwie, wspomina o względzie na osierocone dziecko po wielkim ojcu. Naród przyjął to jednak inaczej, jakkolwiek przeświadczenie o śmierci Petőfi miało za sobą może więcej podstawy ugruntowanej, niż nadzieja, którą przecież żywiono tak silnie i długo, że jeszcze kilka lat temu chciano wskrzesić rokowania dyplomatyczne dla zbadania losu, który go spotkał.

Petőfi wstąpił do organizującego się wojska węgierskiego, zaraz po rozpoczęciu przez Austrię pierwszych kroków wojennych. W październiku 1848 r., zaciągnął się do 27 batalionu Honwedów, gdzie zaraz stopień kapitana otrzymał, bo służbę wojskową znał dobrze, gdyż za swoich lat młodych, trochę awaturnie pędzonych, był żołnierzem: w pułku piechoty barona Goldner, dwa lata służył. Do Szwajcaryi, jako do ojczyzny Tella, chciał się rozmarzony i namiętny chłopak dostać, że zaś na tę podróż grosza nie posiadał, więc wstąpił do pułku, który miał być przeznaczony do Styryi, z kądyby uciekł już-by mu było bliżej wędrować. Ale wyrachowanie zawiodło; pułk wysłano do Kroacji, a on dwa lata jako prosty żołnierz służyć musiał, co przecież zdało mu się teraz, ponieważ mustre i regulamin wojskowy znał. Całą dwumiesięczną kampanią w Banacie odbył, bijąc się przeciw Austriakom odważnie, aż do Pesztu z pułkiem swoim wrócił w tej chwili właśnie, gdy Bem po przytłumieniu rewolucji w Austrii, za woźnicę przebrany, z Wiednia uciekł i do Węgier, do Pesztu się dostał. Petőfi tu go poznał i węzłami wielkiej życzliwości z bohaterem generałem się związał; gdy więc Kossuth dał mu dowództwo nad korpusem, do obrony Siedmiogrodu przeznaczonym, Petőfi do tego korpusu się przeniósł, a Bem zrobił go swoim przybocznym adjutantem i sekretarzem, którą to służbę blisko przez sześć miesięcy, bo od Stycznia do Czerwca 1849 roku pełnił—całą korespondencją naczelnego wodza z władzami węgierskimi prowadził, przez Bema po francuzku mu dyktowaną, przyczem jako adjutant przyboczny, niejednokrotnie w najgorętszym ogniu walk bywał.

Wojska węgierskie dwukrotnie całą ogromną

potęgę nieprzyjacielską z Siedmiogrodu wyparły, powstanie Wołochów usmierzyły, a Petőfiemu do laurów poety przybył krzyż rycerskiej zasługi, który mu pod Mülbach ręką wodza na polu bitwy do szlachetnej piersi przypięła.

Była chwila, w której Petőfi wskutek zajęcia z urzędnikiem ministerstwa wojny, nagle do dymisji się podał i do Debreczyna wyjechał, aby tam znów do Honwedów wstąpić, ale węzły, które go z Bemem wiązały, były zbyt silne, aby tak łatwo pęknąć mogły i w Lipcu znów poeta przy boku dawnego swego wodza się znajduje i do sztabu jego przydzielony, jest przy nim, gdy do Mołdawii się cofa, jest znów z nim w Siedmiogrodzie, w Marosvasarhely—jest z nim na wyrocznem polu bitwy pod Schässburgiem, gdzie od godziny 6-ej rano do 7-ej wieczorem trwała walka zacięta, dla wojska węgierskiego rozpaczna, ostatnia!

Było to 31 Lipca, i dzień to ostatni, w którym oczy ludzkie węgierskiego Tyrteusza widziały. Słońce, które dzień cały jak ogniem piekło, spuszczając się ku zachodowi, w same oczy węgierskim żołnierzom świeciło, aż Bem w tym momencie decydującym, który o klęsce lub wygranej stanowił, w chwili będącej, jak gdyby wyrzuceniem na stół karty ostatniej, z koniem w wodę się zwałił i ciałem jego przygnieciony, bez czucia legł, za zabitego już wzięty, aż go luzar jakiś, poznawszy po jednej szlifie, która z bezsilnem ramieniem w górę sterczała, wydobył, ocucił i bohatersko uratował, lecz już po to tylko, aby wódz mógł spojrzeć na pole trupami zasłane, na wojsko swe rozbite, sztab rozproszony.

W tym sztabie znajdował się na nieszczęście Petőfi. W walce samej czynnego udziału zgoła nie brał, i znajdując się na wzgórku, jakoby dobrze zasłoniętym, patrzył na ważenie się losów swej ojczyzny, gdy nagle nieprzyjaciół pole walki niespodzianie obszedł, i na tyły węgierskie, na owe wzgórza się rzucając, znajdujących się na nim, wraz z rezerwami Szeklerów gnał w dół na nizinę, gdzie wrzała walka główna, aby się tu pod konie szarżującej drugostronnie kawalerii nieprzyjacielskiej dostali.

W tej chwili widział Petőfi jeden tylko świadek i na jedno oka mgnienie, Dr Lengyel, a potem już nikt i nigdy... I tych, co tu z konia spadli, i tych pieszych, co kopytami końskimi tratowani byli a według podania 400 do 500 trupów, rzucono nazajutrz razem w jeden dół przegromny, w straszliwy grób, który sterczy po dziś dzień nad ziemią, bez żadnego przecież znaku lub pamiątki, ale lud okoliczny buduje tym prochom i kościom, co tu przez śmierć i zniszczenie pogodzone leżą, pomnik wiecznotrwały: piramidę z ziemi i kamieni, która powstała i utrzymuje się rękami każdego z przechodniów wznoszona. Pan, czy chłop—każdy, schylił się i na grób garść ziemi, albo znaleziony kamyk cisnie.

Ma to trwać aż po dziś dzień, jak zapewniają Węgrzy, i być może, bo jak świadczy mogiła Perepiatychy, kopiec Wandy, jest to w Słowiańszczyźnie pospolity, a zapewne przez Słowaków zaszczycony Węgrom sposób stawiania pomników ludziom, którzy heroiczną śmiercią poginęli. Istnieje w Poznańskim, niedaleko Wrześni, taki też pomnik na grobie żołnierza.

Węgierski muzyk, Liszta najserdeczniejszy przyjaciel, Edmund Kemeny, od śmierci Petőfi do 1860 r., z koncertów swoich zebrał 10,000 zł. reń., które w ręce Akademii Peszteńskiej złożył z życzeniem, aby summa ta zwiększała się przez procenta tak długo, aż zbierze się dość, by najdroższemu poecie Węgierskiego Narodu wzniesić ze spiżu pomnik, sławy jego godny. Tymczasem w miejscu jego urodzenia nade drzwiami domu, gdzie na świat przyszedł, wmurowano pamiątkową tablicę z marmuru. Urodził on się w 1823 r., w noc noworoczną, o samej północy, w miasteczku Körös, w komitacie Peszteńskim.

Jeżeli tam, w tym wielkim grobie wojowników, których członki były tak roztratowane, przez kopyta końskie, a ciała tak white w ziemię, że przyjaciel przyjaciela, brat brata poznać nie mógł, spoczęły rzeczywiście szczątki poety, to był on w zadziwiający sposób jasnowidzącym wieszczem.

Jak najpierw wyprorokował sobie prędkie zapomnienie ukochanej kobiety, i jej niewierność dla pamięci swojej, tak potem wyprorokował na trzy lata przed zgonem, jaka będzie śmierć i grób jego. W r. 1846 napisał wiersz, który sprawdził się aż do szczegółów drobnych w obrazie tej przewidzianej śmierci. Jest to modlitwa do Boga, aby mu nie kazał umierać na łóżku, z głową na poduszkach, aby nie więdnął jak kwiat, którego korzeń robak podgryza, nie gasnął z wolna, jak światło, w pustej izbie zostawione. On pragnie takiego końca, jaki ma drzewo, przez piorun rozdarte, albo przez wichur z ziemi wyrwane—takiego końca, jak skała, gdy z góry strącona leć, w głębią przepaści z hukiem pada.

Pragnie umrzeć w zapasach walki, gdy Wschód i Zachód do niej stanie i woła: „Wtedy chcę paść; na takim polu bitwy niech z serca mego młoda krew się wytoczy, a gdy z tchnieniem ostatniem wydam ostatnie słowo, odwagę bratnią krzepiące, niech mi grzmi wtedy zmieszany loskot uderzających o siebie oręży. I głos trąb, i grzmoty wystrzałów niech się rozlegają dookoła, a przez moje ciało niech sadzą galopujące rumaki, po wywalczonym zwycięztwie pędzące...”

„Niech leć tak, niech leć, a kości moje niech wtedy dopiero zebrane zostaną, gdy dzień wielkiego pogrzebu wszystkich poległych nadejdzie, gdy uroczyste, przy powolnie śpiewanym marszu żałoby, przy czarno okrytych sztandarach, będzie się ciągnął smętnie pochód ten, który wszystkich walki tej bohaterów w jeden wielki, wspólny grób złoży.”

Tylko że poeta marzył ponad tym obrazem słońce zwycięstwa, świecące po jego stronie, a tu była przegrana—ciężka, doszczętna przegrana! Przyjaciele jego się rozpierzchli, ludzie na duchu upadli i słaba kobieta wiary nie dotrzymała. Mogła przecież w śmierć jego uwierzyć, przez rok cały wieści żadnej, znaku najmniejszego od niego nie mając i nie mogąc znaleźć nigdzie takiego człowieka, któryby po katastrofie choć zdaleka go widział. Że zaś nie była to istota, zdolna cicho z boleścią się żyć i uczynić ją towarzyszką swoją, aż do grobu, więc osunęła się—osunęła się z tego podniesienia, na którem chciał ją widzieć jej naród i upadła, aby przecież nie nie osiągnąć, i tylko czuć ból nieustający w ciężko rozbitej istocie swojej.

Ze wszystkich pisarzy węgierskich, jeden tylko Kertbeny znalazł dla niej słowo politowania i jakiegoś usprawiedliwienia, przecież nieśmiało i jak gdyby nawiasem rzucone. Ale ten pisał w tych już czasach, gdy była to kobieta chora, znękana i grobu bliska, więc go zjęło uczucie litości i chciał być miłosiernym.

Jak przecież wiernie i silnie kochał on Petőfi, jak sławę jego, jego imię pragnął rozgłaszać po świecie, jest rzeczą wzruszającą. Kochali go tak wszyscy niemal, w stosunkach jakichkolwiek z nim będący. Przyjaciel młodości, Kereeny, poeta też szlachetnego lirycznego nastroju, gdy, jako wygnaniec w domu obłąkanych w San Francisco, z tęsknoty za rodzinnym krajem umierał, do końca o Szandora się pytał, Szandora oczekiwał i poezje jego sobie szeptał. Generał Bem niemal w godzinę śmierci, która nastąpiła w Azyi, w Halebie, prosił lekarza swego, Węgra Dr. Schneider, aby mu jego adjutanta wdzięczne liryki czytał i prawie przy nich oczy zamknął. Petőfi został w węgierskiej literaturze ślad silnego szacunku i przywiązania do wodza swego: w wierszu który był jego śpiewem łabędzim, pieśnią ostatnią, napisaną na trzy dni przed bitwą Schässburską: „W zamku Hunyadów” i w broszurze prozą: „Rozmowy z Bemem”. Kertbeny wszystkie pisma Petőfięgo wierszem i prozą na niemiecki język przełożył i dzieło to ofiarował królowi Szwedzkiemu, Karolowi XV, który czuł dla węgierskiego poety wielką sympatya, wielkie jego prostoty, jego gorącego zapалу uwielbienie.

M. I.

FILISTRY

Powieść oryginalnie napisana

przez

M. Gawalewicza.

(Dalszy ciąg).

Pomimo wszelkich pozorów nie zanosilo się na ściślejsze stosunki i większą zażyłość między szwagrami.

Taki mniej więcej był stan rzeczy w pierwszych miesiącach po zaślubieniu Ludwika przez Romualda.

Kareta toczyła się po bruku szybko, gumowe koła głużyły turkot, młodzi małżonkowie siedzieli obok siebie, ale nie rozmawiali ze sobą; ona zajęta była jedynie myślą o wrażeniu, jakie sprawi, ukazując się po raz pierwszy z mężem w teatrze, ciekawą była, kogo będą mieli obok siebie w łoży, kogo naprzeciw, kto pierwszy przyjdzie ich odwiedzić, co będą mówili w parterze?... Zajmowało ją to, bawiło, uśmiechała się nieustannie do swoich myśli.

Stangret zatrzymał konie, lokaj zeskoczył z koła, otworzył drzwiczki, i państwo Lacey weszli do oświetlonego przedsiönka. Ludwika wyprzedzała męża, wbiegła prawie na schody, tak śpieszno jej było rzucić futro na ręce lokaja, który z lornetkami szedł za państwem, i wejść do łoży, gdzie spodziewała się zastać już rodziców.

Z wnętrza dostawał się odgłos orkiestry i chórow na puste kurytarze; woźni przy wejściach siedzieli z afiszami w ręku, obcierając nosy w kraciaste chustki i szepcząc ze sobą o rzeczach z teatrem żadnego związku niemających. Sztuka obchodziła ich o tyle, o ile biletów odebrać musieli na początku, a przepustek wydać w międzyaktach. Najlepszym arcydziełem było dla nich to, które się wcześniej kończyło i zwalniało ich ze stanowiska.

Stary kontroler, w wyszarzanym paltocie, przechadzał się po kurytarzu i ziewał; nudziło go już samo wspomnienie „Aidy”, która dziś z p. Aliot w tytułowej partyi szła na scenę. Spojrzał na wchodzącą parę spóźnionych i spróbował podglądać pod koronkową zasłoną twarzyczkę damy, z prostego przyzwyczajenia. Chciał się przekonać: czy to kto ze stałych *habitués* teatralnych.

— Jakiś ładny buziaczek — pomyślał — to coś z arystokracji.

Państwo Romualdowie w łoży nie zastali jeszcze nikogo; widocznie obiad za długo się przeciągnął, jak zwykle, i papa Fiszbbaum nie zdążył już na ulubioną swą arya: *celeste Aida*, której żadną miarą nigdy dobrze spamiętać nie mógł, a którą fałszował niemiłosiernie, ilekroć go wena muzyczna napadła.

Uważał się bowiem za melomana i dlatego bywał tylko na operze, lub na baliecie; nie chciał się przyznać, że go dramat nudził i usypiał.

Ludwika z Romualdem musieli sami zająć miejsca w łoży tymczasowo; Krullowie bowiem i Jerzbiccy dnia tego obiadowali u rodziców i mieli razem przybyć do teatru „całą kupą”, jak powiedział zwykle w swoim rubaszno-jowialnym stylu najmłodszy zięć pana Fiszbbauma.

Publiczność zajęta była w tej chwili widokiem i śpiewem Aidy na scenie, więc spodziewany efekt przy wejściu zawiódł Ludwikę; ani jedna lornetka nie zwróciła się w jej stronę.

Sala była natłoczona od dołu do góry; pierwsze rzędy krzeseł zajmowali stali bywalcy teatralni, których po większej części przywykło się widywać na jednych i tych samych miejscach w zimowym sezonie. W łożach siedziały strojne damy z miną woskowych figur, zapatrzonych w jeden punkt na scenie; pewna sztywność jeszcze, charakterystyczna w początkach każdego przedstawienia publiczność łożową, nie zniknęła z fizjonomii widzów i słuchaczy.

Ludwika rozglądała się ciekawie po całej sali; obchodziła ją więcej publiczność w tej chwili, aniżeli rozgłosna *primadonna* i perły natchnienia Verdiego; rozpoczęła przegląd znajomych w teatrze, i z przyjemnością przekonała się, że z ważniejszych nie brakło prawie nikogo.

Nabożna cisza zasłuchania panowała w sali.

— Czy nie wzięłeś afisza? — spytała Ludwika męża, aby czemkolwiek przerwać milczenie jego.

Dał znak głową, że nie, i słuchał dalej.

— Proszę cię, każ podać afisz — szepnęła znowu po chwili; zdawało jej się, że bez afisza nie pozna dzisiaj nikogo z obsady opery, którą tyle razy widziała z rodzicami na scenie.

— W antrakcie — odpowiedział Romuald krótko, nie ruszając się z miejsca. Niewiadomo czemu, nie podobała jej się ta odpowiedź; zdawało się jej, że w tonie męża brzmiała jakaś sucha opryskliwość.

— Czemuś taki zachmurzony? — spytała szepem po niejakiem czasie.

Wzruszył ramionami i odparł obojętnie:

— Zdaje ci się.

Był jednak niezadowolony z czegoś; nie lubił stawać nigdy na widoku, a w twarzy żony, w jej oczach czytał chęć zwrócenia uwagi na siebie i to go rozdrażniało.

W kurytarzu dały się słyszeć kroki, szmery, zmieszane głosy i śmiech kilku osób: widocznie państwo Fiszbbaumowie nadechodzili. Jednocześnie w obu łożach otwarto drzwi i cała rodzina Ludwika zaczęła zajmować swoje miejsca. Szelest sukien jedwabnych, odsuwanie krzeseł, reszta rozmowy, choć przygłuszonej przy wejściu, wywołały pewno zamieszanie.

Jerzbicki był w jakimś różowym humorze, miał minę człowieka, który przed chwilą wstał od czarnej kawy po wybornym obiedzie i wyszczył ostatnią kropelkę Martell'a. Nic go nie obchodził cały teatr, oczy mu się świeciły, usta uśmiechały, gotów był spleść jakiegoś uciśnionego figla, przez całą drogę do teatru bawił żonę i teścia swoimi konceptami i rozśmieszał ich, jak rozigrany dzieciak.

Opowiadał im, wcale dowcipnie zresztą, wrażenie młodej muchy, która pierwszy raz wleciała do faski ze starą bryndzą i jak odurzona ostrym zapachem, zaczęła brzęczeć: bzzz!... bzzz!... bzzz!...

Naśladował to tak łudząco i zabawnie, że pani Magdalena pokładała się od śmiechu, a papa Fiszbbaum, do spółki z zięciem, powtarzał to brzęczenie i dodawał ze swojej strony rozmaite dowcipy.

Kilka osób z publiczności zaczęło zlekka sykać na spóźnionych przybyszów, co wprawdzie zażenowało damy, ale w Jerzbickim podrażniło przekorną naturę.

— Magdzia — mówił do żony przyciszonym głosem — czego te durnie sykają? cóż oni myślą, że mnie ich Aida co obchodzi?... bzzz!... ja wolę moją muchę na bryndzy... bzzz!... bzzz!... prawda?

Oczekiwania Ludwiki zostały zadowolone; zachowanie się szwagra i przybycie trochę za hałaśliwe zwróciło uwagę, zaczęto przypatrywać się obu łożom. Ztąd i zowąd szły teraz uśmiechy, uprzejme skinienia głowy na powitanie i ciekawe spojrzenia w stronę rodziny bankiera.

— Patrzcie, patrzcie — szeptało sobie — Fiszbbaumowie z córkami są w teatrze. Młoda Lacka siedzi przy matce.

— A prawda; trochę pomizerniała, ale gdzież on?

— Stoi tam w głębi łoży za teściem.

— Śliczne ma brylanty na szyi. Zobaczycie, że ona będzie najładniejszą z nich wszystkich, gdy się trochę wypełni.

— A on jaki przystojny!... tylko za poważny, jak na młodego męża.

— Eh, rozrusza się z czasem.

Papa Fiszbbaum przymrużał oczy, drapał się w faworyty, swoim zwyczajem, i z przybraną nonszalacją patrzył na scenę.

— To Dowiakowska? — spytał żonę, nie mogąc rozpoznać śpiewającej na scenie artystki.

— Zkądże znów!... przecież to nowa *primadonna*, pani Aliot.

— A, prawda, zdawało mi się.

Jerzbicki od czasu do czasu wychylał się do

teścia z sąsiedniej łoży, „robił do niego oko” i ci-chutko naśladował bzykanie muchy w najbardziej melancholijnych miejscach opery.

— Magdzia — upominał papa, siląc się na przybraną powagę — *dis à ton mari*, żeby się usat-kował, proszę cię.

— Pssst! — przerywał mu teraz z kolei Jerzbicki — proszę nam nie przeszkadzać. Ojciec nie się nie zna na pięknej muzyce; ach, jakie to czu-łe!... daj-no mi chustkę, Magdziu, niech sobie nos obetrę. Wiecie, ja nie wytrzymam do ostatniego aktu. Ta Aida tak śpiewa, jakgdyby już była głodną, zanim ją na głodową śmierć skazą za romanse z Radamesem.

W tym tonie dogadywał bez ustanku, przeszkadzając słuchać innym, a plotąc największe niedorzeczności, przybierał wyraz wielkiej powagi, co jeszcze bardziej podnosiło komizm jego konceptów.

Romuald słuchał tego wszystkiego z przykrym niesmakiem, ale udawał, że nie słyszy; nie odzywał się i nie wychylał ze swego ukrycia.

Fiszbbaum kilka razy próbował go zagadnąć.

— To dopiero ulicznik z tego Józef! — mówił przez ramię do trzeciego zięcia, jakby się napraw-dę oburzał na wybryki Jerzbickiego — ja nie rozumie, co mu się dzisiaj stało.

W pierwszym antrakcie zaraz kilka osób przyszło odwiedzić panią Rozalię; zaczęła się ta obo-wiązkowa flanerya po łożach, szablonowe rozmowy o sztuce, *primadonnie*, nowinkach; traktowa-no się pomadkami i komplementami zarówno.

Lacey byli wszelako głównym przedmiotem wszystkich antraktowych pogawędek. Łoża pań-stwa Fiszbbaumów była w obleżeniu. Ludwika musiała się bez ustanku rumienić, dziękować za powinszowania i grzeczne słówka, uśmiechać do kobiet, które jej spojrzaniem mówiły:

— Ślicznie wyglądasz, jako młoda mężateczka!

Musiała udawać, że nie rozumie przymówek starszych panów, którzy, z tytułu zażyłości z oj-cem, pozwalali sobie dyskretnych dowcipów na temat małżeństwa wobec córki.

Język francuzki i angielski na przemiany, z rzadką domieszką polszczyzny, rozbrzmiewał w tych wszystkich rozmowach, przeplatanych śmiechem wesołym, urywanych co kilka chwil, przeskakujących z przedmiotu na przedmiot, a odnawianych jednakowo po każdym skrzypnięciu drzwi w łoży, przez które jeden gość wychodził, przepuszczając drugiego.

Fiszbbaum stał w kurytarzu z miną wielce za-dowoloną; cieszyła go ta pielgrzymka znajomych i przyjaciół, przedstawiał Romualda wybranym tylko, którzy go jeszcze nie mieli sposobności po-znać osobiście i powiedzieć mu przy podaniu ręki:

— *Charmé de votre connaissance, Monsieur...*

Od czasu do czasu teść jego zatrzymywał ko-goś za ramię i pytał:

— Co pan robisz dziś po teatrze?...

— Nic, jestem wolny.

— To przyjdź pan do nas na herbatę, dobrze?... będziemy w małym kółku.

I w ten sposób gościnność Naboba giełdowego zapełniła cały salon na improwizowanym wie-czorku, który miał się odbyć w najściślejszym gronie familijnem.

Ludwika była zachwycona tym pierwszym pu-blicznym występem swoim w roli mężatki; „robi-ła furorę”, jak mówiły przyjaciółki jej matki, które przy wyjściu z teatru, oczekując na powóz w przedsiönku, cisnęły się, by „tej małej” powin-szować sukcesu i ucałować ją, a jednocześnie rzucić okiem zbliżka na jej toaletę i przypatrzeć się brylantowym kolczykom, które miała w uszach, a o których cuda opowiadali ci, co mieli sposob-ność widzieć wyprawę bankierówny przed słu-bem.

Recepcya po teatrze była liczną i ożywioną u państwa Fiszbbaumów; złożyła się nawet par-tyjka dla kilku starszych preferansistów; kolacya podano po północy, rozmawiano dużo i wesoło, krytykowano nawet trochę dzisiejszą operę w grupie, otaczającej pannę Ernestynę, jako wyrocznię w kwestyach muzyki — i jak zwykle, baron wymknął się do klubu, Jerzbicki zasiadł do zielonego stolika, pani Rozalia na kanapie

ziewała ukradkiem nerwowo; baronowa z Jerzbi-cką szeptały i chychotały po kątach, a stary Fiszbaum rozdawał cygara i zalecał węgierskie wino, które kupił po starym jakimś księciu.

Brakowało tylko Mister Allana Smith'a, któryby szukał ukrytej szpilki i odgadywał cudze myśli: a w reszcie co do joty powtórzyłby się ów pamiętny wieczór, na którym Romuald poraz pierwszy poznał panią Odoniecką. Jej jednej potrzeba było w tem gronie, aby rozchmurzyć i ożywić Romualda, poruszającego się automatycznie w salonie teścia i spoglądającego co chwila na zegarek.

Czuł się dziwnie jakoś zmęczonym dzisiaj i znużonym; żona rzucała mu od czasu do czasu uśmiechnięte spojrzenia i niepostrzeżenie składała rączki z błagalną minką:

— Jeszcze chwileczkę.

Wiedziała, że go coś do domu ciągnie, ale nie miała ochoty porzucać towarzystwa, które ją bawiło. Teść przysiadł się do niego kilkakrotnie, i pytał:

— No cóż tam nowego?... Andrzej nie pisał do ciebie?—miał mi dać znać: czy skończył z belgijskim towarzystwem ostateczne układy co do naszych kopalni, czy też obejdziemy się bez niego

— Nie miałem jeszcze listu od wuja.

— Jakis mi błąd jesteś dzisiaj?

— Może... głowa mnie rozboleła.

— Głowa?... poczekaj, każę ci dać czarnej kawy z cytryną, chcesz, albo nie—dam ci migrensztyft; wyborny środek. Natrzesz sobie kark i skronie: jak ręką odjął.

— Nie, nie trzeba—dziękuję panu—wymawiał się Romuald — prześpię się, i do jutra przejdzie. Bylem tylko jutro zdrów był przed wyjazdem.

— Wyjeżdżasz jutro?

— Tak, jadę na wieś; mamy pierwszą naradę sąsiedzka w okolicy w sprawie tej spółki sadowniczej i zakładania szkółek owocowych dla włociscian.

— A, wspominałeś mi coś o tem—przerwał mu Fiszbaum — przypominam sobie. Cóż, odpowiedzi ci na twój kwestyonaryusz?

— Właśnie odebrałem dziś paczkę listów, których nie miałem czasu przejrzeć jeszcze.

— Że się wam chce na takie mrozy jeździć na wieś!... zaczękalibyście przynajmniej do wiosny.

Romuald się uśmiechnął.

— Na wiosnę byłoby zapóźno; właśnie korzystamy z zimy, aby tymczasem przygotować rzecz w zasadzie, a z pierwszym cieplejszym dniem, wziąć się do roboty.

Bankier wzruszył ramionami.

— Wam się zdaje, że wy co zrobicie! Mój kochany, ty nie znasz jeszcze naszego chłopca. On temi waszemi drzewkami będzie płoty grodził, albo na kominie palił. Co to warto!... szkoda czasu i pieniędzy. Ja rozumiem, że to daje popularność w okolicy; coś tam już nawet dzienniki wspomniały o twoim projekcie...

Romuald zmarszczył czoło i wtrącił:

— Przecież ja tego dla popularności nie myślę robić.

Fiszbaum spojrzał na niego zpod oka.

— No, ja wiem o tem—rzekł — ale to jedyny pożytek z tej afery. Innego się nie spodziewaj. U nas z chłopami—to żaden interes. Tak dla zabawki, no, to jeszcze; ale poważnie traktować tego nie można. Przysnam ci się zresztą, że mnie to wszystko jedno, czy taki Bartek lub Maciek jada śliwki ze swego ogrodu, czy nie, byle mi tylko gałęzi nie łamał w moim sadzie i nie kradł owoców ze dworu.

— O to właśnie chodzi; trzeba go przyuczyć do poszanowania cudzej własności i przekonać, że może mieć własny sad, a z sadu pożytek.

— Ty myślisz, że on tego nie wie bez ciebie?... ale on woli korzystać z cudzego. Daj pokój, to są mrzonki. Wam młodym się to podoba. Chłop chłopem zawsze pozostanie, bo w nim jest chłopiska natura; nie przerobisz go ani ty, ani twój przyjaciele, ani ja;—no, ja z pewnością nie, bom za mądry na to i za stary, aby się w takie rzeczy wdawać.

Romuald pochylił głowę na ramię i zaczął się przypatrywać deseniowi na perskim dywanie, który mieli pod nogami; zamilkł, widząc, że dys-

kussya w tym przedmiocie nie doprowadziłaby do żadnego rezultatu.

— Kiedyż myślisz wrócić z tej narady?—spytał go Fiszbaum z jakimś skwaszonym wyrazem twarzy.

— Zapewne pojutrze w południe.

— Dopiero pojutrze?... to późno. Ludwika, twoja żona, spędzi zatem pierwszą noc jako słomiana wdowa?

— Proponowałem jej, żeby ze mną pojechała.

— Na wieś?

— A tak, dla czegożby nie?

Bankier ironicznie się uśmiechnął.

— Ty i ja chciałbyś na chłopomankę wykierować?—spytał—poczekaj przynajmniej, aż będzie trochę cieplej. Na takie mrozy nie można się narażać. Ja jej powiem, żeby u nas nocowała jutro.

Wstał i przeszedł do drugiego pokoju, gdzie Jerzbićki przy kartach zapowiadał wielkiego szlema, a zobaczywszy teścia, przypomniał sobie anegdotkę o musze z bryndzą i kiwnął na niego, by się zbliżył.

— Chodź-no ojciec, mam ojcę coś powiedzieć na ucho.

— Czego chcesz? — spytał zainteresowany Fiszbaum.

— Coś ważnego; daj-no ojciec tu ucho—prawe, nie lewe, przedziutko, bo mi się śpieszy.

— No?

Nachylił się ku zięciowi, który z tajemniczą miną przybliżył usta do dużego obrosłego włosem jego ucha i zaczął z nich wysokim tonem brzęczeć:

— Bzzz!...

— Pójdiesz, z takimi żartami!—opędał się papa bankier — wstydź się, że się ciebie takie głupstwa trzymają!

— A cóż mnie się ma trzymać, kiedy daję wielkiego szlema!—zawołał Jerzbićki, z rozmachem wyrzucając kartę na stół.

Romuald pozostał na kozetce i przypatrywał się jeszcze długo deseniowi perskiego dywanu.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOWINY PARYŻKIE.

Paryż 1 Września 1887 r.

Skwary sierpniowe.—Ucieczka nad morze.—Wybrzeża Bretanii. Dinard-Saint-Enogat.—Czarowne widoki i gościnność polska.—St. Malo.—Pamiątki i wspomnienia.—Sucouf, Duguay-Trouin-Lamennais.—Châteaubriand i jego grobowiec — Brytany z St. Malo, tragiczni strażnicy. — Kardynał Lavigérie. — Spotkanie. Nowe zakłady nowego apostoła w Afryce. — Siostry Missyonarki. — Cel i przyszłość zakładu. — Odwrotna strona pięknego medalu. — Mody berlińskie. — Kolosalny zakład *alias* reklama „Gazety Kolońskiej”. — Eksekucja Pranziniego, haniebne sceny pospólstwa na placu De la Roquette. — Pani de Genlis jako autorka dramatyczna. — Jubilusz pierwszej i jedynej sztuki w Spa.

(Dokończenie).

Z tych wspomnień znad morza jest jedno, które należało zapisać na pierwszym miejscu. W sąsiedztwie jest tu dom, bardzo starej szlachty bretońskiej. Kiedyś zdarzyło mi się oddać wielką posługę ojcowi tej zacnej rodziny, i odtąd ścisła bar-dzo przyjaźń nas łączy. Raz w życiu przysługa i wdzięczność nie zostały sobie obce: niech będzie chwała Bogu! Otóż pierwszego dnia wezwano mnie pilnie, aby przyjeżdżał „*coute qui coute*” mówił lakoniczny listek. Że to zaledwie dwie godziny drogi od Dinard—stawiłem się na rozkaz—i nie miałem powodu żałować tego. W domu oczekiwano starego przyjaciela rodziny, który w przejeździe z Hollandyi zwrócił się ze swej drogi, aby odwiedzić chrestną swą córkę, najstarszą z dzieci moich przyjaciół. Upragnionym tym gościem był kardynał Arcybiskup Algierski i Kartagiński, Prymas Afrykański ks. Lavigérie. Ponieważ, nierzad już wyraziłem im chęć poznania tego wielkiego dygnitarza, skoro więc doszła ich wiadomość o tak szczęśliwych odwiedzinach,

wezwali mnie natychmiast, wiedząc, jaką mi sprawię przyjemność, przedstawiając mi Jego Eminencyi.

Kardynał jest wspaniały, okazałej postawy; chociaż jest już blisko pół wieku, jak rozpoczął swój zawód apostołski, nie ma ani śladu starości, ani w ruchach, ani w głosie, ani w spojrzeniu, które jest otwarte, śmiałe, przenikające. Jest to prawdziwe oko wodza wojującego kościoła; tylko śnieżne włosy i siwa, obfita, wspaniała broda, która mu spada na piersi, mówią, że siódmy krzyżyk przekroczył. Rysy twarzy, ogorzałej od skwaru afrykańskiego, są regularne, czerstwe i oddychają niezmierną dobrocią i powagą, która przypomina, że ten purpurat jest to następca i zastępca biskupa z Hippony... a jeśli matką jego nie była święta Monika — winien on życie tej wielkiej matczy, która się Francją zowie!

Mówiłem wam, że kardynał w tej chwili wracał z Hollandyi — jestem pewien, że powód i cel tej podróży kardynała obudzą w was, jak obudziły we mnie, niezmiernie współczucie... Wiecie, że Jego Eminencya do tytułów wyżej wspomnianych łączy jeszcze tytuł Administratora Apostolskiego Tunetańskiego. Otóż, nowy Franciszek Xawery, kardynał, rzuciwszy na tę ziemię afrykańską cały zastęp misjonarzy—postanowił dać udział w tej świętej sprawie tym, przez ręce których tyle i tak wielkich cudów miłosierdzia i miłości stało się na ziemi, i powołał kobietę do tej walki, której godłem i celem jest miłość bliźniego — słowem: stworzył nową falangę służebnic Chrystusa, pod godłem „Siostr Missyonarek“.

Kardynał, któremu pięćdziesięcioletnie prace misyonarskie dały poznać głęboko i nawskroś cały Wschód i Afrykę — przekonał się, że jeśli prace apostolskie jego wiernej drużyny uczyniły ogromne nabytki dla wiary Chrystusa, wśród męskiej połowy wyznawców Islamu, to druga jej połowa—najlepsza, najbardziej godna litości—połowa żeńska, została nieznanym lądem dla tych pionierów, i że przepaść niezgłębiona oddziela ją od prawdy, od cywilizacyi i od wyzwolenia duchowego.

Wiadomo, że kobiety w Afryce, jak wszędzie, gdzie panuje Islamizm, są jakby odłączone od towarzystwa ludzkiego; same bowiem tylko kobiety, wyjawsz głowę i pana rodziny, mają prawo i mogą przeniknąć do wnętrza niewieścieli pokoi. Nikt więc oprócz kobiety nie jest zdolny przynieść im ulgi w okropnym losie i dać im poznać tę świętą jasność pociechy i uspokojenia, pociechy i wyzwolenia z kajdan. Sam tylko chrystyanizm jasność tę w sobie przynosi, dla wszystkich bez wyjątku ludzi. Podać więc tym upośledzonym naukę Chrystusa, zachęcić je, wesprzeć, podnieść, mogą jedynie kobiety chrześcijanki. I ztąd to powstał w umyśle kardynała Lavigérie zamiar stworzenia i powołania do służby Chrystusowej „Siostr Missyonarek“.

Ale pierwiej, zanim powołane staną pod chorągwią, potrzeba je wdrożyć w obowiązki i we wszystkie szczegóły świętego zawodu; potrzeba, aby odbyły naprzód niezbędny nowicyat; prawodawca ich, naśladowca S-go Augustyna i S-go Franciszka, chciał, aby przed wystąpieniem do walki, siostry te otrzymały namaszczenie i przygotowanie stosowne do powołania i odpowiednie jego wielkości i ważności. Przygotowane do walki, która je czeka, zapomocą nowicyatu mającego je wtajemniczyć w jego potrzeby i nędze, w jego zawody i trudy, w jego poświęcenia bezwzględne, w jego niebezpieczeństwa i samą śmierć nawet,—wystąpią one do walki, jak ich poprzedniczki, Siostry Miłosierdzia, ale wystąpią w pełnem uzbrojeniu.

Purpura zdobiąca ks. Lavigérie przypomina wspaniałe, że gotów on jest może nawet ubarwić ją swoją krwią własną. W Hollandyi kardynał nabył w Wyck w bliskości Maastrichtu, posiadłość, która się stanie głównym domem, macierzą wspaniałej instytucyi, bo pierwszą dźwignią wyzwolenia kobiety na wschodzie z tej niewoli i poniewierki, w jakim jest od wieków.

Czemuż, dając wam tę wiadomość, nie mogę was postawić wobec tego potężnego apostoła wiary, przed którym ukląknę z pokorą! Czemuż

nie mogę wam dać słyszeć natchnionych słów jego—jego potężnej wymowy, kiedy, rozwijając przed nami te wielkie zarysy wielkiego dzieła, wskazał nam ku wschodowi otwartą drogę, ku tej bazylice, którą jego apostołskie ręce dźwignęły już, tam na wysokości starożytnej Byrsy *ubi Carthago fuit*, gdzie swą duszę oddał w ręce stwórcy święty Ludwik, 1270 r., 25 Sierpnia, w ten sam dzień, kiedyśmy tu słuchali gorących słów kardynała. Wzniósł on wspaniałą katedrę, na miejscu małej opuszczonej kapliczki, pod wezwaniem Ś-go Ludwika; budowa tej świątyni kosztowała dwa miliony franków.

Wzgórza starożytnej Byrsy to miejsce dawniejszej cytadeli kartagińskiej, miejsce pałaców bajecznej Dydony. Tu Regulus oddał swój żywot, za swoją ojczyznę; ztąd wyszedł Hanibal; tu Scypionowie zebrali swe laury; tu rozmyślał zwyciężony Maryusz; tędy przeszli, jak orkan, Wandalę; tu wreszcie nowy apostoł wiary zatknął raz jeszcze swój krzyż zwycięzki i wzywa wszystkich do najświętszej sprawy—do odkupienia *Niewiasty!*

Niewiasty i kobiety,—tu należy rozróżnić... O pierwszych tylko cośmy mówili, wszystko, co jest wzniosłe i piękne, ale też, co jest bolesne i ciężkie, co przypomina krzyż i ofiarę, to jest ich znamię. Kobiety,—o nich to powiedział Shakespeare: *Frailty, thy name is woman*. Do nich to pił ów surowy Katon, korespondent belgijski *Kölnische Ztg.*, kiedy z niezmierną gwałtownością, prawdziwie pruską, występował przeciwko prassie wojsku, magistraturze i w końcu przeciw damom dworu, za to, że miały tę próżność stosować się do mód paryskich, nie zaś do tak świetnie estetycznych berlińskich. Co do prassy, wojska i magistratury, wskutek żywych reklamacji, gazeta Jana Maryi Farina odwołała cierpkie wyrażenia Katona znad Sprei; ale co do kobiet, nie cofnął się z placu jowialny doradca, dodał nawet tę przebiegłą uwagę, że właśnie założono w Berlinie fenomenalny skład z obrotowym kapitałem dzieściu milionów marek—jak widzicie, miliony teraz nad Spreą, są tak pospolite, jak stare zużyte złotówki. Zakład ten, pod nazwą trochę za długą może: „Reichsnormaldamenbekleidungsanstalt”, przeznaczony jest, jak powiada korespondent, do wywołania zupełnego przewrotu w dziedzinie mody, przez ułatwienie wielkim paniom, które każą sobie czasem przysyłać z Bruxelli suknie na wielkie galowe fety u dworu, sposobności do znalezienia ich w domu, bo bruxelscy kupcy—dodaje—nie więcej są warci, od swych współbraci anti-prusaków z wielkich magazynów paryskich.

Reklama dosyć pyszna, jak widzicie; ten zacny jednak Prusak zapomniiał dodać jednej małej rzeczy: że zakład berliński, sprowadziwszy najnowsze z Paryża modele, zaofiaruje swoim klientom z pierwszej ręki, to, co dotąd było specjalnością belgijskiego *Contre-façon*. Muszę mimo woli wsadzić tu ten okrutny galicyzm, ale oprócz chyba „podrobienia” nie znajduję odpowiedniego wyrażenia w całym wielkim słowniku Lindego.

Nakoniec zdecydował się pan Grévy pozwolić na ukrócenie, jak tu powiadają, tego wielkiego mordercy kobiet, sławnego Pranzinięgo. Ostatni dzień Sierpnia był ostatnim dniem tego strasznego zbrojaka. Czas już było położyć koniec tej tragicznej komedii, która się od dni dziesięciu odegrywała na placu przed więzieniem zwanym „de la Roquette”. Jest to oburzający okrutny w swej głupocie zwyczaj, ale którego nie wykorzenie nie zdoła na bruku paryskim, ta chorobliwa i sprośna ciekawość tutejszego społeczeństwa: uczęszczać na stracenie, jakby na najprzyjemniejsze widowisko. Daremnie, dla uniknięcia tłumy, wykonanie tej strasznej sprawiedliwości ludzkiej, wyznaczono na ranne godziny, pierwszego brzasku jutrzeńki—daremnie! Ludzie, którym żadna perswazja, żaden przykład, żadna uwaga do przekonania nie trafi, którym ten widok jest droższy nad spokój, nad zdrowie, nad wszystko, po całych nocach, od dni dziesięciu zalegali plac więzienny, aby nie stracić tego przedstawienia, i tego zapachu krwi ludzkiej! To straszne!

„Homo homini lupus” (człowiek dla człowieka wilkiem). Nigdzie to nie daje się tak dobrze

sprawdzić, jak na tych piekielnych wieczornicach. I trzeba widzieć, co to są za ludzie, z których się składa ten tłum, osowiały, zmęczony, ale okrutny i dziki, do ostateczności! Trzeba widzieć, kiedy po tylu dniach oczekiwania przychodzi na koniec policyja do oczyszczenia placu stracenia. Chociaż agenci tej szanownej instytucji są liczni, chociaż wezwania i rozkazy nie ustają, tłum rozbewziewany nie ustępuje ani na krok. Potrzeba użyć na koniec siły zbrojnej, i to z największą cierpliwością i ostrożnością zarazem, bo tłuszcza gotowa jest rzucić się na bagnety nawet.

Nie przez samą tylko ciekawość swoją ten tłum jest oburzający i wstrętny, ale przez to swawolne i obrzydliwe zachowanie się wobec strasznego widowiska. Wszystkie sąsiednie restauracje i szynki zapełnione są tłuszcza, wrzeszczącym na całe gardło najsprośniejsze przechwałki i najbrudniejsze piosenki; cały ten motłoch zapili, cuchnący i brudny, nie zamyka nawet paszczek swoich w samej chwili tracenia, posyłając skazanemu na śmierć tesame zwrotki, które niedawno służyły do wyrażenia sympatii dla Boulanger’a.

„C’est ta poire qu’il nous faut!”

Tu gruska znaczy tyle co głowa.

Dodajmy do tego, że przy tem wątpliwem świetle poranku tłum zepchnięty z placu do wąskich sąsiednich ulic i za plecami żandarmeryi pieszej i konnej i policyantów, nie może wcale dojrzeć tego, co się dzieje na rusztowaniu gilotyny, i że próżne oczekiwanie całonocne było tylko pozorem do obmierzłej orgii i do straty czasu!

Nic zresztą, ani ze strony skazanego na śmierć, ani ze strony społeczeństwa, lub zarządu publicznego, nie zakłóciło ostatnich chwil tej smutnej ceremonii. Pranzini do końca twierdził, że jest niewinnym i pada ofiarą omyłki sądowej. Wobec śmierci wszakże, co jest naturalnem bardzo, stracił całą swą szorstkość i pewność siebie, i szedł położyć swą występną głowę w tym zamęcie zmysłów, który w ogólności skazanym na śmierć odbiera przytomność.

Kiedy, odwracając wzrok od tego smutnego widoku, szukam wokoło, coby mogło podnieść ducha i rozpogodzić myśl i serce—muszę wybiedz myślą poza granice Francji—bo tu przy tych letnich pustkach Paryża, przy zacierzawieniu się w jakie ich wprawia w tej chwili odbywająca się pierwsza próba mobilizacji, w okolicy Tuluzy, poszukiwania moje byłyby próżne; wręcz przeciwnie nawet, natknąłbym się na guza, bo oto nowa zbrodnia popełniona została, tymrazem przecież przez obłąkanego.

Ludzie starszego pokolenia, ci, którzy byli dziećmi w pierwszym kwartale bieżącego stulecia, nie mogą nie pamiętać pani de Genlis i jej „Wieczorów Zamkowych”, których czytanie było pierwszą francuzką łakocią, jaką zastawiano obudzonej ciekawości literackiej tego młodego pokolenia w zawiązku. Pamiętając dziś jeszcze, z jaką rozkoszą zanurzałem się w tej lekturze, zachowałem pewien kult wdzięczności dla pani de Genlis, i z przyjemnością przyjmuję wszystko, co mi przypomina ulubioną autorkę mego dzieciństwa.

Otóż w tych czasach ukończono w Spa w Belgii, odnowienie pomnika, wzniesionego tam w r. 1787, aby utrwalić pamięć, że Księżna Orleańska, matka Ludwika Filipa, odzyskała tu zdrowie, pijąc wody ze źródła zwanego: „Sauvenière”. Pomnik ów, pierwotny, zniszczony w Grudniu r. 1792, odbudowanym został, z rozkazu i kosztem Ludwika Filipa w r. 1841. Uszkodzony przez czas, rada miejska korzystając z rocznicy stuletniej, kazała odnowić i oczyścić i obchodem solennym uczcić pamięć tego, który się przyczynił do oswobodzenia Belgii.

Korzystając z okazji, znaleźli się ludzie, co pamiętni, jak ja, wielkich zalet tej dobrej i zacnej pani de Genlis, postanowili uczcić i ją, jako guwernantkę dzieci Rodziny Orleańskiej, z których, jednym z pilniejszych był przyszły król francuzki Ludwik Filip—i w tym celu—wieczorem w teatrze urządzili przedstawienie jednoaktowej jej sztuki pod tytułem: „Niewidoma ze Spa” *L’aveugle de Spa*. Dnia 3 Września roku

1789 sztuka ta przedstawiona została w ówczesnym teatrze miejscowym.

Przedmiot i osnowa sztuki proste i przejrzyste, jak dusza autorki, nie mają żadnej pretensyi, do hałasu i wrzaskliwych sukcesów dziejszych. Nie myślę podzielać z Ludwikiem-Filipem wielką miłość dla guwernantki, która musiała raz nawet powiedzieć temu smarkaczowi ukoronowanemu: „Il est singulier, mon seigneur, que je vous trouve toujours fourré dans mes jupes!”—co sam król później przypomniał—jednakże, muszę wyznać, że to jest naiwne, jak sielanka, — czyste i niezmyślane, jak śpiew skowronka.

Nota samej pani de Genlis, umieszczona przy pierwszym wydaniu, opiewa, że przedmiot tej sztuki nie jest żadnem zmyśleniem, ale odbiciem prawdziwego zdarzenia. Jest to więc historia niejakiej pani Aglebert, która, sama będąc bardzo biedną, poświęca się staraniom i opiece około biednej niewidomej, nazwiskiem Goton. Milady Seymour, bogata Angielka, która miała zamiar ustanowić premium dla nagradzania cnotliwych uczynków—oddaje to premium pani Aglebert.

Oto i wszystko. Jak widzicie, nie ma tu ani zawikłania, ani nawet dramatyczności, ale jest dobry, pocziwy uczynek, opisany piórem zacnej kobiety. To też publiczność zebrana tego wieczoru w teatrze Spa przyjęła dobrem sercem tę pamiątkę po p. Genlis i hucznymi oklaskami potwierdziła wybór uczyniony przez urządzających jubileusz.

Kronika działalności kobiecej.

— Szkoła śpiewu, z wykładami teorii śpiewu, powstaje we Lwowie, wznoszona przez p. Paulinę Stróżecką, uczennicę Franciszka Lampertiego w jego medyolańskiej szkole śpiewu, z której ukończenia otrzymała bardzo chlubne świadectwo—patent nauczycielki, rozumiejącej w wyższym stopniu metodę Lampertiego nauki śpiewu. We wspomnianej szkole p. Stróżecka była przez czas dłuższy akkompaniatorką i korepetytorką; bierze też na siebie w zakładającej się szkole wykład teorii śpiewu i wykład o narzędziach głosowych. Że taka szkoła jest u nas potrzebna, dowodzić nie potrzeba, bo niejedyn talent nam przepada przez kosztowną i trudną dla mniej zdolnych naukę, której szukać trzeba na dalekiej obczyźnie.

P. Stróżecka przysłużyła się zarazem naszej muzycznej literaturze, przełożywszy z włoskiego dwa dzieła Lampertiego go, traktujące o sztuce śpiewu. Prócz powagi, którą Lamperti w świecie muzycznym, jako nauczyciel śpiewu posiada, pracę tę zaleca jeszcze wzgląd, że książek podobnych w języku naszym nie mamy. P. Stróżecka jest Lwowianką.

— „Gazeta Radomska” zamieściła bardzo dla ziemian interesującą list, podpisany: W. D., a traktujący kwestyą ważnej gałęzi gospodarstwa wiejskiego, wchodzącą w zakres pracy kobiecej—omleczynie i zyskach, jakie przynosić może, gdy się niem zajmujemy sami, obywatel się bez pośredników. Obora p. W. D., liczy dojnych krów 40; pachciarz, który mleko hurtem dzierżawił, płacił niegdyś od krowy rs. 25, ostatnimi czasy 35, co wynosiło razem 1,440 rs. Że przecież należało do niego połowa cieląt, których rocznie otrzymywał od 17—18, a ciele warte było rs. 5, czyniło to 90 rs., zatem dzierżawa mleka przynosiła w rzeczywistości tylko 1,350 rs.

Przytem pachciarz zajmował mieszkanie, za które obecnie po jego usunięciu się, właściciel bierze rocznie komornego rs. 24; do tego dostawał: morgę gruntu, obsadzoną kartoflami, wartości 20 rs; pół morgi obsianej owsem, wartości rs. 10; ogród warzywny wartości rs. 8. Utrzymanie na oborze dworskiej trzech jego własnych krów, liczy p. W. D. rs. 120; konia, najczęściej ze źre-

bięciem, rs. 80; drzewo zbierane w lesie, tygodniowo fura dobra, rs. 25. Prócz tego otrzymywał na święta korzec pszenicy, wartości rs. 7 i z gorzelnicy trzy garnce okowity, rs. 9, co podsumowawszy, i odciągnawszy od rocznej summy dzierżawnej, redukuje ją do 1.045 rs.

Obrachunek, tak dokonany, wykazał p. W. D. że obora nie przynosi mu takiego zysku, na jaki mógł liczyć, mieszkając w pobliżu większego miasta, Radomia, zwłaszcza że krowy są dobrej rasy i dobrze utrzymywane, dające przeciętnie każda 396 garn. mleka, co poświadczały rejestra gospodarskie, najściślej prowadzone. Zatem, chcąc korzystniej nabyć swój spieniężać, usunął pachciarza hurtowego i wszedł w umowę z sąsiednią gospodynią, kolonistką, która za otrzymaną dziesiątą garniec mleczym się zajmowała i wywoziła je na sprzedaż do Radomia. Po obliczeniu rocznym dochód pokazał się znacznie wyższym, bo właściciel obory otrzymał w gotowiznie 2.516 rs., czyli 1471 rs. więcej, niż miał poprzednio.

Ale oddawana dziesiąta część mleka ma jeszcze wartość pokazywać: i oto córki p. W. D., które z Warszawy, z pensyi wróciły, zastanowiły się nad tem: czy one nie mogłyby tak się gospodarstwem mlecznym zająć, aby i ta część dziesiąta w domu, w rodzinie zostawała? Najstarsza córka wystąpiła też do ojca z propozycją, że ona wraz z siostrami, chce się tego podjąć i tylko co do wywożenia mleka do miasta jaką uczciwą zastępczynią się wyręczać. — „Tyle już jest guwernantek, nauczycielek w przedmiotach rozmaitych — mówiła ojcu ta panna rozumna — że niedługo lekcye wypadać zaczęły po parę groszy za godzinę, a gospodyń, mleczarek inteligentnych brakuje. Rozum nakazuje brać się do tego, co przy uczciwej pracy najwięcej przynosi korzyści. Ojciecłożył dotychczas na nasze utrzymanie, my nadal ciężarem być mu nie chcemy. Niech ojciec odda nam za naszą pracę koło mleka połowę tego, co go pachciarz kosztował, a my same utrzymamy się: ubierzemy i zajmujemy.”

Ojciec rzucił pytanie: czy będą robić to, co córki niemieckiego kolonisty, Kinda? Odparły, że tak, z wyjątkiem jeżdżenia do miasta. Ojciec się zgodził, choć robił mu uwagi, iż lekkomyślną jest próba, która może narazić go na stratę znacznego dochodu; on przecież musi ufać córkom: ich pracowitości, ich wytrwałości, bo w gazecie pisze wesoło: — „Vederamo...” i czyni w dodatku uwagę, że ze względu na pożytek ogólny, na działanie dobrego przykładu, należy głosić takie fakty pożytecznej na nowych drogach pracy kobiecej. Zakończyła też pocieszającym twierdzeniem, że w Radomskim jest wiele pań pszczolarek, jedwabniczek, ogrodniczek, chmielarek, nawet tkaczek, hodowczyń kapłonów i królików na zbyt, tylko publiczność nie wie o nich, ponieważ pracują w milczeniu. Ze podzielamy zdanie p. W. D. co do korzyści powiadamiania ogółu, jakie są i mogą być użytecznie exploatowane kierunki pracy kobiecej, potwierdza już *Kronika* tej pracy, którą pismo nasze od lat wielu stale i periodycznie prowadzi. O dobrych rzeczach wiadomość ludziom dawać, jest to dobre rozpowszechniać, bo dobrego uczyć i otuchy do niego dodawać. — „Ramię do ramienia!” to w każdym kierunku wzmacniające, krzepiące hasło i pismo nasze przyjmuje też zawsze z wielką wdzięcznością, każdą wiadomość o pożytecznej i korzystnej dla rodzin i kraju pracy kobiecej. Praca taka na wsi ma dziś znaczenie zdwojone i nie tylko już ekonomiczne. Przy ziemi się utrzymać, z rąk jej nie wypuścić, nabywcom Niemcom nie oddać, to nasze nowoczesne Okopy Świętej Trójcy do uratowania. To też Bóg zapłać tym, które to rozumiejąc, mają siłę i odwagę jąc się i takiej pra-

cy, jaką spełniały dotąd tylko córki Kindów. Bóg zapłać... Szczęść Boże!

— *Korrespondent Płocki* podaje wiadomość z Ziemi Chełmińskiej, że prowadzi się tam gęśmi znaczny handel wywozowy. Przez Strzałkowo przepędzają w obecnym czasie dzień za dniem partje gęsi od 5,000 do 6,000 sztuk, za które płać gospodyniom od zł. 10 do 2 rs., a są one wysyłane do Prus, do Saxonii. Znaczna ich część idzie do Berlina, podobnie jak i inny drob: kaczki, kury, indyki. Podobnie wywożone są ztamtąd znaczne partje jaj i masła, które przez Poznań także do Prus idzie. *Kaliszanin* donosi również tę dobrą nowinę, że za zbliżeniem się jesieni zjawiało się, jak dorocznie, mnóstwo handlarzy, skupujących po wsiach gęsi na wywóz do Niemiec. Gazeta ta skarży się przecie, że sprwadza to uciążliwą dla ludności miast kaliskich drożynę drobiu; sądźmy przecie, że wywóz jest dla każdego kraju rzeczą pożądaną, bo sprowadza mu pieniądze, którego u nas nadto niema. To tylko mogłoby tu być do nadmienienia, że wedle tego, co *Kaliszanin* pisze, ceny są tam o wiele niższe, niżeli wyżej podane, jakkolwiek to, co jest korzyścią nabywców przez zmieniony kurs rubla, nie może tu w rachunek wchodzić. Jeżeli lud po wsiach daje się wyzyskiwać, to winną jest jego nieświadomość i obojętność tych, którzy go nie objaśniają. Jak tu, wina ta ciąży na paniach ze dworu, które powinnyby objaśnić wiejskie gospodynie, jaką cenę na swój towar nałożyć mogą. Jest to nie tylko obowiązek życzliwości bratniej, sąsiedzkiej, ale względ na ogólne dobro kraju, które cierpi, skoro producent nasz mniej, niż powinien, za swój towar otrzymuje. Aby zaś ludność miejscowa nie była przez wywóz drożyzną dotknięta, jest na to rada: trzeba, aby się produkcja drobiu wzmogła, a pomnażając w ten sposób swój dochód, gospodynie wiejskie przyczyniłyby się zarazem do dobrobytu ogólnego.

— Z dniem 15-tym bieżącego miesiąca rozpoczęły się, jak corocznie, w Zakładzie rękodzielniczym Hr. Cecylii Zyberg-Plater kursa: utrzymywania ksiąg i korespondencji handlowej, oraz kurs malowania na porcelanie, drzewie i atlasie.

— Do egzaminu z pszczolnictwa i jedwabnictwa stanęło w Muzeum Pszczolniczym na Koszykach kobiet 36 (mężczyzn 20).

— Na Wystawie krakowskiej otrzymała w grupie bydła górskiego medal brązowy Domicella z Tryńczy; w grupie bydła nizinnego Karolina Wasilewska. Nagrodę pieniężną: 5 dukatów, otrzymała Maryanna Kulina.

— Herminia von Preuschen, której obraz: „Mors Imperator” stał się w Niemczech przedmiotem żywego zajęcia, należy do malarek wyższego talentu i stoi w pierwszym szeregu niemieckich artystów pędzla. Córka radcy stanu, urodzona w 1856 roku, otrzymała bardzo staranne wychowanie; studia malarskie odbywała w Karlsruhe, pod kierunkiem zdolnego mistrza, Ferdynanda Köllera, po trzech latach nauki puściła się w podróż artystyczną do Włoch, malowała w Rzymie, w Neapolu, następnie w Paryżu, w Berlinie. W 1872 roku wyszła za mąż, za lekarza, Oswalda Schmidt, nie porzucając przecie pędzla; od tego czasu miejscem jej zamieszkania był Rzym i Monachium, przebywała przytem dla potrzebnych jej studyów w Kopenhadze. Najznakomitsze jej dzieła historyczno-symboliczne są: „Evoë Bacche”, „Kleopatra”, „Panneaus”; z przedmiotów nowożytnych „Wenecja”, „Sycylijska wiosna”, „Rzymska jesień”. Jest to razem inteligentna, w towarzyskim życiu bardzo przyjemna i w dodatku bardzo ładna kobieta, delikatnej pociągłej twarzy, z dużemi, pięknymi

oczy. Pisma niemieckie dały w tych czasach jej portrety.

— „Ogólne stowarzyszenie kobiet niemieckich” mające się zebrać w Augsburgu, w d. 24 bieżącego miesiąca na czternaste już z kolei walne zgromadzenie doroczne, obradować będzie przez dni trzy. Przedmiotem rozstrząsań być mają: „Dla czego kobiety niemieckie związały się w stowarzyszenie”? „Obowiązki kobiety w rodzinie i w społeczeństwie”. „Wsparcie biednych i pielęgnowanie chorych”, „Pomoce wychowawcze”, „Kształcenie się dalsze po skończeniu nauki szkolnej”. Zapisanych mówczyń jest ośm i jeden mężczyzna, Dr Wislicenus z Berlina.

— Arcybiskup Algieru, kardynał Lavigérie, przybywszy do Paryża podnosił bardzo żywo wysokie zasługi kobiet jako misyonarek między Arabkami. Prałat ten założył też w Limburgu (w Belgii) seminarjum niewieście, kształcące do działań misyjnych w Afryce. (ob. *Now. Par.*).

— Międzynarodowa wystawa pracy kobiet ma się odbyć w roku przyszłym w Anglii pod protektorem królowej. Na miejsce wystawy obrane zostało miasto Glasgow. Komitet najpierwszych pań angielskich, z księżną Beatryxą Battenbergową na czele, zajmuje się urządzeniem wystawy, której charakter ma być oile można pouczający w kwestyi teje pracy, przez dobrze reprezentowane wszystkie jej działy i we wszystkich kierunkach. Księżnę Battenbergową zajmuje przeważnie dział pracy domowej, domowego przemysłu, który stanowi o dobrobycie rodzin, i jest tą gałęzią pracy kobiecej, która łączy się najściślej z moralnością rodzinną i szczęśliwym życiem w rodzinie. Dział pracy kobiety, jako wychowawczynie, zajmuje też wielce szlachetne protektorki wystawy i mieć będzie oddany sobie obszerny pawilon.

— Kwestya pracy kobiecej w Anglii, właściwie kwestya robotnicy, jest bardzo usilnie i głęboko badana przez szlachetnego szermierza sprawiedliwości i sumienia społecznego, Waltera Besant, i choć może nie przyniesie to od razu tych ulg, tego polepszenia losu robotnicy, jakiego pragną ludzie szlachetnego serca, niemniej przedmiot rozświeci się nieco. Publiczność się dowie, jak nędznym jest istnienie tysięcy, kroci tych niewolnic nowożytnych, których życie całe jest ciężkie, okrutną pracą na to tylko, aby nie umrzeć z głodu. Okazało się, że mimo wszelkich zastrzeżeń prawa, w bazarach zabawek szlachetne nad morzem, i w składach ubiorów gotowych, sklepowe mające od piętnastu do osmnastu lat wieku, są zajęte po 15 godzin dziennie, od Poniedziałku do Soboty, z odtrąceniem tylko trzech godzin na jedzenie, zatem pracują godzin dwanaście.

OD WYDAWCY.

„Bluszcz” w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasową redakcją.

Szanownym prenumeratom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 16-ty powieści pod tytułem: *Dzisiejsi* przez H. Rabusson.

TRESC: Wychowanie. — Bhagavat, poemat, Leconte de Lisle'a, (dokończenie), przekład A. L. — Dopełnienie życiorysu Julii Petöfi. — Filistry, powieść, (dalszy ciąg), przez M. Gawalewicza. — Nowiny paryzkie, (dokończenie). — Kronika działalności kobiecej.

Dodatek obejmuje: Arkusz 16-ty powieści pod tytułem: *Dzisiejsi*, przez H. Rabussona. — 39 wzorów ubiorów i robot z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycją stołu.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 9 Сентября 1887 года.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg

Podnózek haftowany.

Rycina Nr 3 Krój pierw.
str. tabl. Nr V, fig. 25.

Podnózek pokryty ciemno-czerwonym haftowanym wełnianym repsem, na rogach ozdobiony bufami z oliwkowego pluszu i otoczony podług ryciny czerwono-brunatnym wełnianym sznurem, oraz małemi rozetami. Najpierw przenieść wzór na materiał podług fig. 25 i wykonać haft ceglata i popielatą filozelą w dwóch cieniach, oraz hamburską włóczką i srebrną oraz złotą nitką, płaskim, sznurczkowym, "Janiny" i pocztowym ścięciem. Na każdą rozetę owinać 20 razy, 5 cent. obwodu mający pręci czerwono-brunatną wełną, oszyć je w około pasmem wełny, pospajać razem i ozdobić w środku wełnianą gałką.

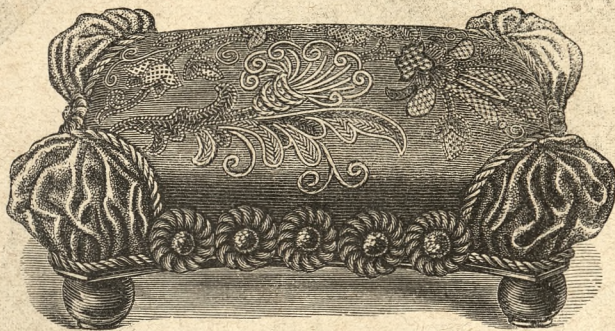
Kołnierzyk i mankiet z wszywki i wstążki.

Rycina Nr 4 i 5.

Na kołnierzyk potrzeba $3\frac{3}{4}$ cent. szeroki, a 44 cent. długi pasek z niebieskiego surah podwójnie złożonego, w środku dać podkładkę ze sztywnego tiulu i z jednego końca śpiczasto obciąć. Z wierzchu pokryć ten pasek trzema zeszytami po $1\frac{1}{4}$ centimetra szerokiemi koronkowemi wstawkami, które przewlec pół centimetra szeroką niebieską atlasową wstążeczką i pikotowym brzegiem, rozetę z takiejże wstążki zrobioną przyszyć do spi-



Nr 1. Kołdra siatkową gipiurą, krzyżową robotą i ścięciem Holbeina. (Do ryc. 2, oraz ryc. 3, 9 i 13 w Blu. Nr 39).



Nr 3 Podnózek haftowany.
Deseń pierw. str. tabl. Nr V, fig. 25.

czastego końca, który zapina się na haftki. Mankiet robi się w ten sam sposób.

Kołnierzyk i garnirowanie do rękawów z koronki.

Rycina Nr 6 i 7.

Kołnierzyk 37 cent. obwodu mający, zrobiony z koronki 4 cent. szerokiej, ułożonej w przeciwną stronę, i $2\frac{3}{4}$ cent. szerokiej, w tenże sam sposób ułożonej, nad którą widać wąziutką, 1 c. szeroką. Połączenie koronek pokrywa 2 c. szeroka jedwabna wstążeczką, przewleczoną przez 1 centim. wąską wszywkę, z którą jednocześnie układa się garnirowanie. Taką wstążką związaną w kokardę, zdoła kołnierzyk. W tenże sam sposób ułożony mankiet, nosi się szerszą stroną zwrócony w górę.

Garnirowanie do szyi.

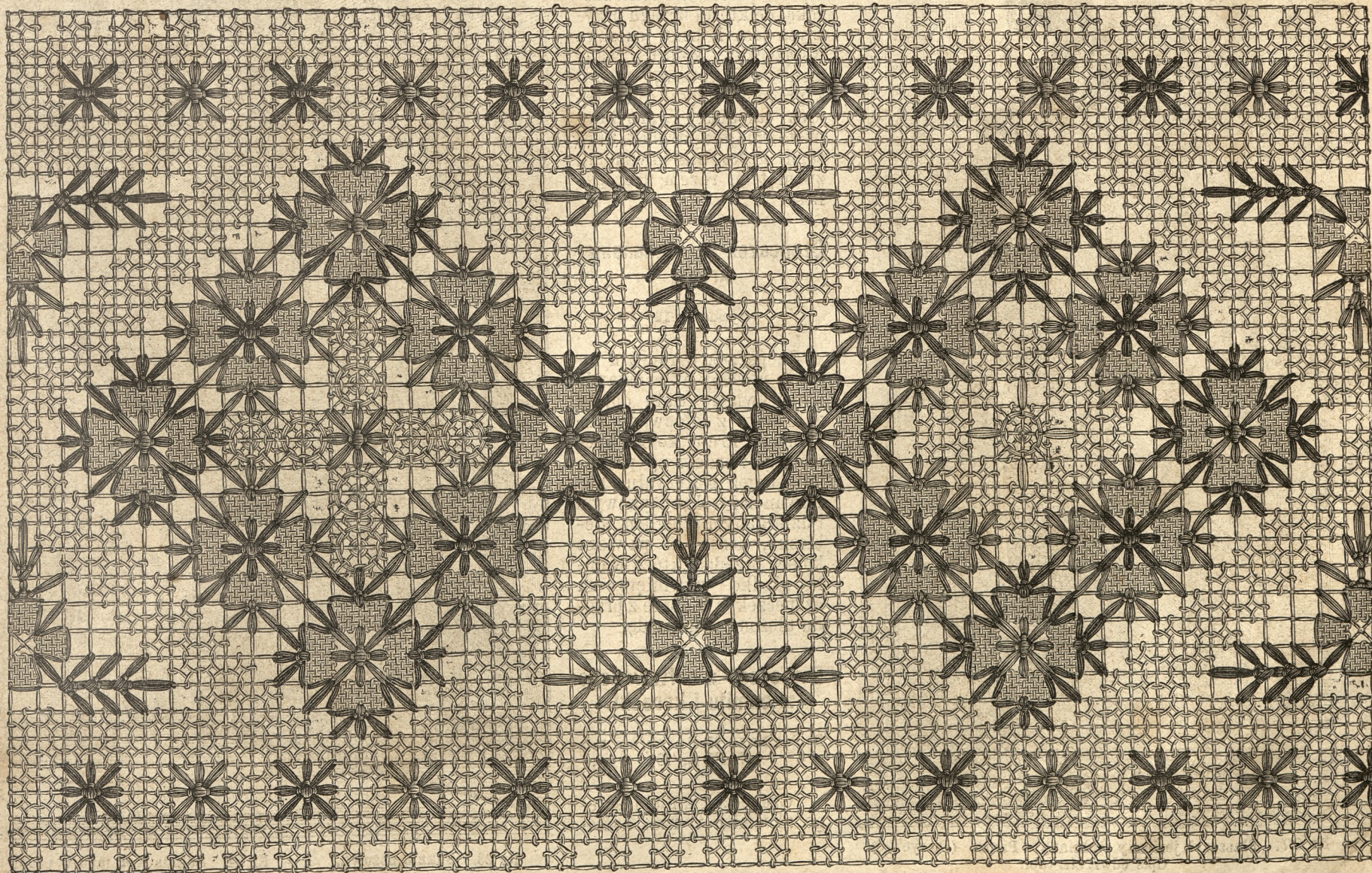
Rycina Nr 8.

Garnirowanie do szyi z ciemno-niebieskiej repsowej wstążki, w pasowe atlasowe pasy, z brzegiem niebieskich pikotów, zrobione z paska potrzebnej długości i kokardy pokrywającej zapięcie podług ryciny.

Naszyjnik z perełek.

Rycina Nr 9.

Taki naszyjnik zrobić można z woskowych pereł jakiegokolwiek koloru. Wzór zrobiony



Nr 2. Wszywka do kołdry ryc. 1 siatkową gipiurą. Zmniejszona.

z trzech rzędów cielistego koloru woskowych pereł, na który chcąc otrzymać szerokość 37 centim., potrzeba na pierwszy rząd 100 pereł nawlec na drucik, następnie wracając na drugi rząd, przewlec drucik przez każdą ósmą perełkę i 23 razy naprzemian po 3 perełki nasunąć, a drucik przez każdą czwartą perełkę przeciągnąć; 3 rząd: 5 pereł nasunąć, następnie ciągle naprzemian: drucik przez środkową z następnych 3 pereł poprzedniego rzędu przewlec, 3 pereł nasunąć, z poprzecznych stron objąć naszyjnik wążutką aksamitką, przyszyć haftkę i haczyk i pokryć spięcie kokardą 2 i pół c. szerokość z pasowej aksamitki.

Krawatka tiulowa.

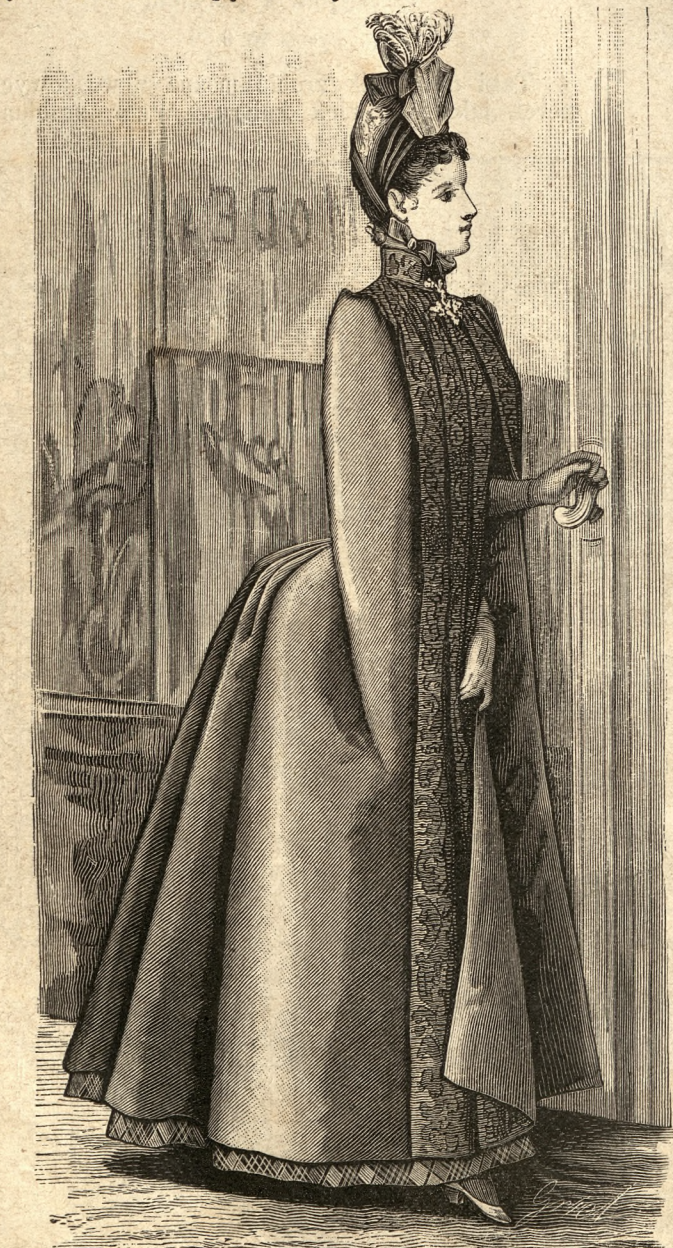
Rycina Nr 10

Podobne krawatki, jak je rycina 10 przedstawia, robią się z tiulu, crêpe-lisse, surah lub t. p. materyałów. Na wzór zrobiony z niebieskiego w rzucik jedwabnego tiulu, po trzeba 22 cent. szerokość, a 114 cent. długi kawał tiulu, który ułożony w poprzek w kilka zakładów, a oba końce wzdłuż łączą się. Tym sposobem ułożony tiul, stanowiąc krawatkę powinien mieć 5 c. szerokości.

Czepeczek z crêpe-lisse.

Rycina Nr 11

Zarobić rondko ze sztywnego tiulu, mające w środku 12, na końcach 3 i pół cent. szerokości, z przodu z dwóch stron zrobić zaszwęki kliniaste, objąć w drucik i krepę. Nastę-



Nr 27. Płaszczek jesienny wełniany. Przód. (Do ryc 26). Opis odwr. str. tabl.

pnie obszyć w około całe rondko karbowaną falbanką z crêpe-lisse, 6 cent. szerokość, do której brzegu przyszyta jest 1 cent. szeroka wstążeczka koloru „saumon“ z pikotami, naszyć z przodu rondka dwie takie falbanki i przykryć puste miejsce dwoma ukosami gęsto ufałdowanymi, zwiniętymi razem z crêpe-lisse.

Czepeczek z rumuńskiej krepy.

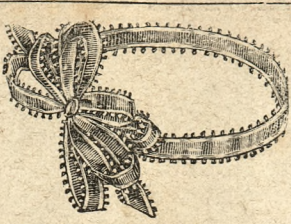
Rycina Nr 12.

Czepeczek w rodzaju toczka, ułożony na podstawie ze sztywnego tiulu objęty w drucik, z fałdowanej rumuńskiej krepy koloru kremowego i ozdobiony paskami z tegoż materyału, haftowanymi krzyżykowym i dzierganym ścięciem, niebieską, pasową i pawiego koloru przędzą, które w dole gładko wywinięte na czepeczek, a w górze z przodu ułożona w kokardę.

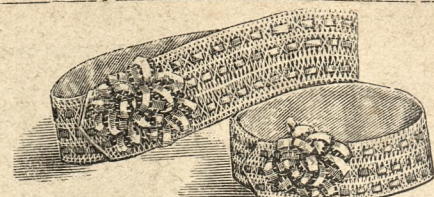
Czepeczek z haftowanego aksamitu i koronki.

Rycina Nr 13. Krój odwr. str. tabl. Nr IX, fig. 40.

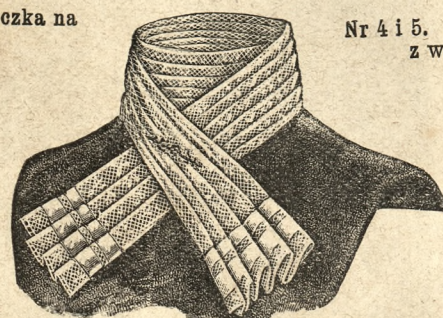
Czepeczek z niebieskiego aksamitu w rzut hafto-



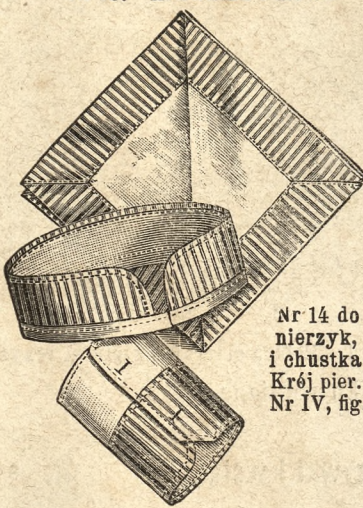
Nr 8. Wstążeczka na szyję.



Nr 4 i 5. Kołnierzyk i mankiet z wszywkami i wstążkami.



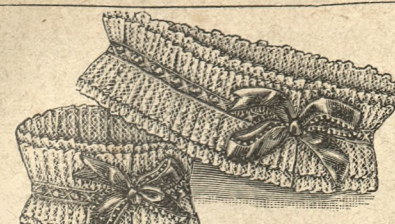
Nr 10. Krawatka tiulowa



Nr 14 do 16. Kołnierzyk, mankiet i chustka do nosa. Krój pier. str. tabl. Nr IV, fig. 23 i 24.



Nr 17. Pelerynka szydełkową robotą.



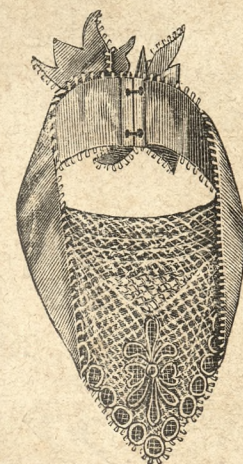
Nr 6 i 7. Kołnierzyk i mankiet z koronek.



Nr 9. Naszyjnik z pereł.



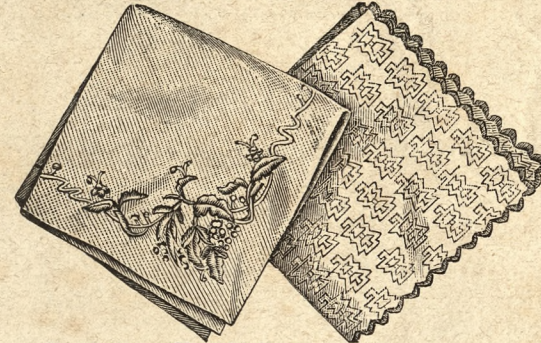
Nr 11. Czepeczek z crêpe-lisse.



Nr 18. Napierśnik z wstążek i złotych pereł.



Nr 13. Czepeczek z haftowanego aksamitu i koronki. Krój odwr. str. tabl. Nr IX, fig. 40.



Nr 21 i 22. Chustki do nosa.

wany niebieskim jedwabiem i złotą nitką, przybrany jest rozetą 11 cent. szerokość żółtawej koronki i 3 c. szerokość niebieską repsową wstążką z pikotami. Ukroić podług fig. 40 ze sztywnego muslinu dwie części, objąć drucikiem, wyjąwszy wierzchniego brzegu, pokryć aksamitem i podszyc niebieską jedwabną materyą. Obie części następnie składając krzyżyk z kropką sfaldować wzdłuż górnego brzegu, do gwiazdki i dwukropka, jeden na drugi zakładając, zeszyć, a następnie przybrać, jak wyżej, czem się pokrywa połączenie obu części. Na przybranie potrzeba 110 centim. koronki i 125 cent. wstążki.

Kołnierzyk, mankiet i chustka do nosa.

Rycina Nr 14 — 16. Krój pier. str. tabl. Nr IV, fig. 23 i 24.

Ryciny wskazują kołnierzyk z odpowiednim do tego mankietem i chustką do nosa. Pierwszy kraje się podług fig. 23 z perkalu w białe i pasowe paski i sztyrtngu na podszewkę, przestępnować brzeg i objąć w podwójny pasek 1 cent. szeroki. Mankiet kraje się z podwójnego sztyrtngu, podług fig. 24, pokrywa do



Nr 23. Suknia beżowa. Opis odwr. str. tabl.

Nr 24. Suknia wełniana w paski. Opis odwr. str. tabl.

Nr 25. Okrycie wełniane wyszywane. Opis odwr. str. tabl.

Nr 26. Płaszczek wełniany jesienny. Płecy. (Do ryc. 27).



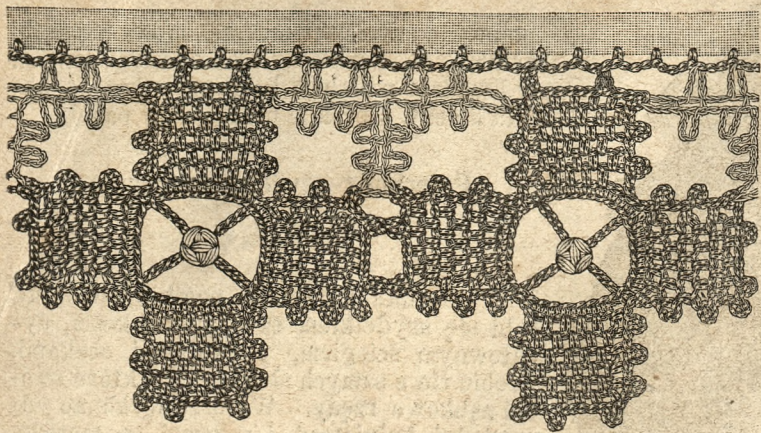
Nr 28. Suknia z angielskiego materyału. Przód. (Do ryc. 27 w B. Nr 39). Krój i opis pier. str. tabl. Nr I, fig. 1—7.

połowy perkałem; przestępnowią i robi dziurki do guzików. Chustka 35 centim. w kwadrat z białego batystu, u brzegu objęta 3 cent. szerokim perkałem w paski.

Pelerynka szydełkową robotą.

Rycina Nr 17.

Pelerynka z czarnej perskiej włóczki, robi się szydełkiem ze słoniowej kości, dychtownym ścięciem, podwójnymi oczkami. Zrobić tło z samych słupków, w które wrobić ząbkowe rzędy. W górze wykonać odpowiedni kołnierzyk i podszyc go morową wstążką; kołnierzyk zapina się z przodu na haftki i ozdabia kokardą z takiejże wstążki. Na zaczęcie zrobić 220 oczek i na nich z powrotem 1 kolej, następne 3 ocz. ominąć, wtedy ciągle 1 słup. w każde ocz. Wtedy następuje 31 kolei słupkowych i każdy słupek przeciąga się przez tylną żyłkę każdego oczka, jednak dla utrzymania formy, 10 i 11 kolej, oraz 18 i 19 do przewleknięcia, z których pierwsze i ostatnie 2 oczka, są zawsze ściśle i są pierwsze 2 koleje na środkowych 116, ostatnie zaś 2 na środkowych 137 ocz. wykonane. Dalej od 5 kolei włącznie z takową, zawsze dla jednego spuszczenia, pierwsze i ostatnie 2 słupki poprzedniej kolei 1 słup. zająć, a oprócz tego w ostatnich 7 kolejach, oprócz tych 2 spuszczeń, jeszcze 6 razy dalej spuszczać w równych odstępach, jednak w każdej następnej kolei, w innym miejscu tak, aby ostatnia kolej mniej więcej 90 słupków liczyła. Następnie dziergać w poprzednie żyłki ostatniej kolei, a dalej w przednie



Nr 31. Koronka do ryc. 32 robota szydełkowa. Wielkość naturalna.

żyłki każdej drugiej kolei tła, zawsze po jednym rzędzie ząbków jak następuje: * 1 o. ścis. w następne ocz., 7 słup. w każde drugie ocz., 1 ocz. ominąć, od * powtórzyć, w końcu 1 ścis. ocz. w ostatnie ocz.; przy robieniu każdego następnego ząbków, trzeba zawsze ścis. ocz. z środkowych 7 słup. zająć. Takimi samymi ząbkami obrobić przedni i dolny brzeg, jednak poprzednio wystające nitki obrobić 1 kolejną ścis. ocz., robiąc to koło szyi. Następnie zrobić kołnierz na łańcuszku z 12 pow. ocz. Kolej 1: Pierwsze 7 ocz. opuścić, 2 słup. w następne 2 ocz., 2 pow. ocz., 1 słup. w 3 ocz. Kolej 2: 1 pow. ocz., 5 słup. w następne 2 pow. ocz., 1 ścis. o. w żyłkę pomiędzy 2 słup., 5 słup. w następne 2 pow. o., 1 ścis. ocz. w następne pow. ocz. Kolej 3: 5 pow. ocz. oba ząbki poprzedniej kolei zawinąć na prawą stronę, 2 słup. w następne 2 słup. przedostatniej kolei, 2 pow. ocz., 1 słup. w następny słup. przedostatniej kolei. Kolej 4 jak 2. Powtórzyć 35 razy 3 i 4 kolej i połączyć wtedy kołnierz, wierzchem z wykrojem szyi pelerynki. W końcu otoczyć kołnierz z prawego przedniego brzegu i w górze 1 kolejną, w której z lewej strony zawsze 1 ścis. ocz. w następne brzeżne ocz., 1 pikot, czyli 4 pow. ocz. i ścis. ocz. w poprzednie ścis. ocz. zrobić.

Napierśnik z wstążki i złotej koronki.

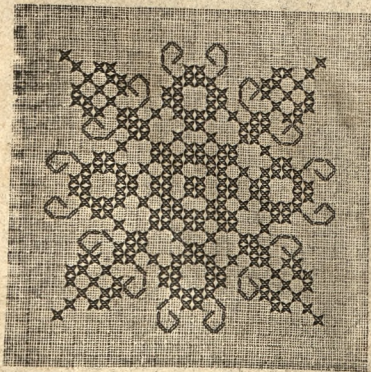
Rycina Nr 18

Wstążkę niebieską repsową z pikotami, 65 cent. długą, a 6 c. szeroką, złożyć w środku w kliniastą fałdę, zeszyć i oba końce wstążki w odstępnie 6½ cent. od kantu złożonej wstążki, z uwagą na rycinę, założyć, obrębować brzegi i przyszyć haftki do zapięcia. Pęczek końców w ząbki wyciętych wstążek, stojącą przyszyć, pokrywa zapięcie. Oprócz tego odpowiedni kawałek szerokiej złotej koronki, w górze w 5 odwróconych fałd ułożyć i do wstążki podług ryciny przyszyć.

Chustki damskie do nosa.

Rycina Nr 19 i 20.

Dwie modne chustki damskie do nosa z batystu w rzucik, 38 c.



Nr 38. Rzut na serwety i t. p. krzyżową robotą i ścięciem Holbeina.



Nr 34. Znak haftowany. Nr 29. Część wzoru do serwety ryc. 30. Wielkość naturalna.



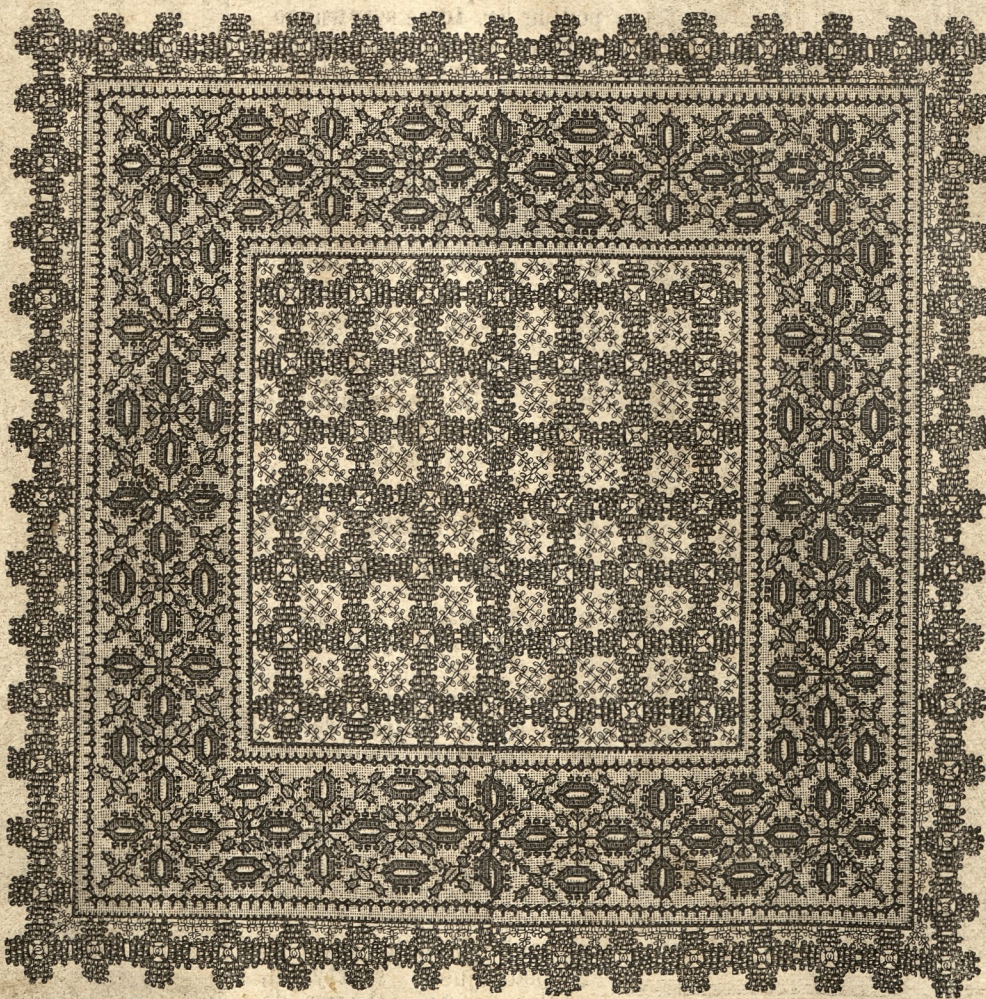
Nr 35. Znak haftowany.



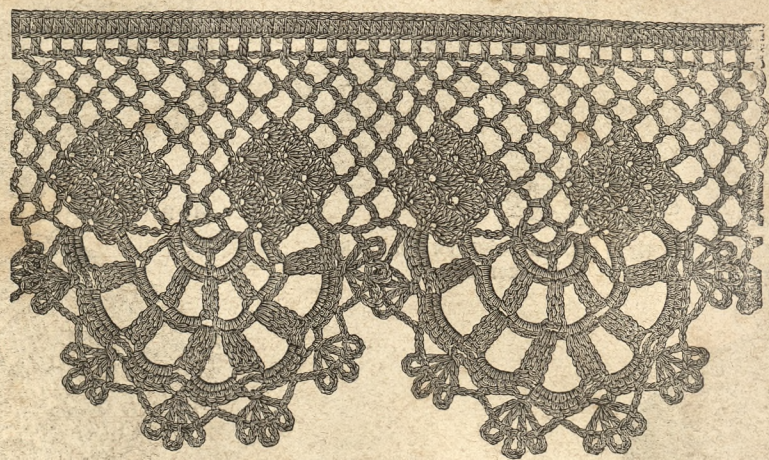
Nr 36. Znak haftowany.



Nr 30. Stół pokryty serwetą. (Do ryc. 29).



Nr 32. Serweta szydełkowa, atłaskowa i Holbeina robotą. (Do ryc. 31). Deseń pierw. str. tabl. Nr VI, fig. 26.



Nr 33. Koronka szydełkowa robota.

w kwadrat, w koło otoczone ażurowym obrębkiem, 1 cent. szerokim. Chustka ryc. 19 z cienkiego batystu w deseń z kwadratów pasowych. Chustka ryc. 20 jest koloru stalowo-popielatego w ciemno-granatowy deseń.

Przepisy gospodarskie.

Galareta z winogron.

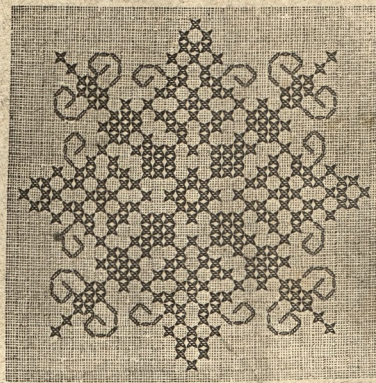
Galareta z winogron jest nader delikatna i aromatyczna jakby z wina. Dojrzałe słodkie białe, czyli rzeczywście zielone, bo zowią je białymi dla odróżnienia od ciemnych winogron, rozgnieść łyżką na misce i przecedzić przez rzadki płócienny woreczek; można nawet wycisnąć mocno, bo galaretowate części zostają przy pestkach. Na kwartę tego soku wziąć 1½ funta cukru, porąbanego jak do herbaty, bo większe kawałki nie chcą się prędko rozpuszczać w kwasie i gotować z początku na prętkim, następnie na wolnym ogniu, starannie zbierając szumowiny, póki nie zacznie galarecie — co się poznaje, wzięwszy kilka kropel na nóż i ostudziwszy je szybko. Powinna być czysta bez cedzenia — ponalewać łyżką w lampki, bo lejąc rondlem, mogą słoiki pękać, a lejąc łyżką, rozgrzewają się powoli; — ponieważ galareta gdy ostygnie, opadnie w słoiku, należy nalewać pełno; po wystudzeniu przykryć okrągłymi papierkami umoczonemi w araku lub spirytusie, obwiązać papierem i chować w chłodnej spiżarni. Dla chorych mianowicie ta galareta bardzo jest posilna i orzeźwiająca.

L. C.

Obiad na Niedziele.

1. Rosół po orleańsku.
2. Kotlety bite wołowe „entre-côte”.
3. Młoda gęś z jabłkami.
4. Torcik wiśniowy.

Do dzisiejszego numeru dołącza się Tablica krojów.



Nr 39. Rzut na serwety i t. p. krzyżową robotą i ścięciem Holbeina.